Muzyczna igła w australijskim stogu siana



Wizerunek podróżnika Pawła Edmunda Strzeleckiego, grafika

Piotra Słowiańskiego

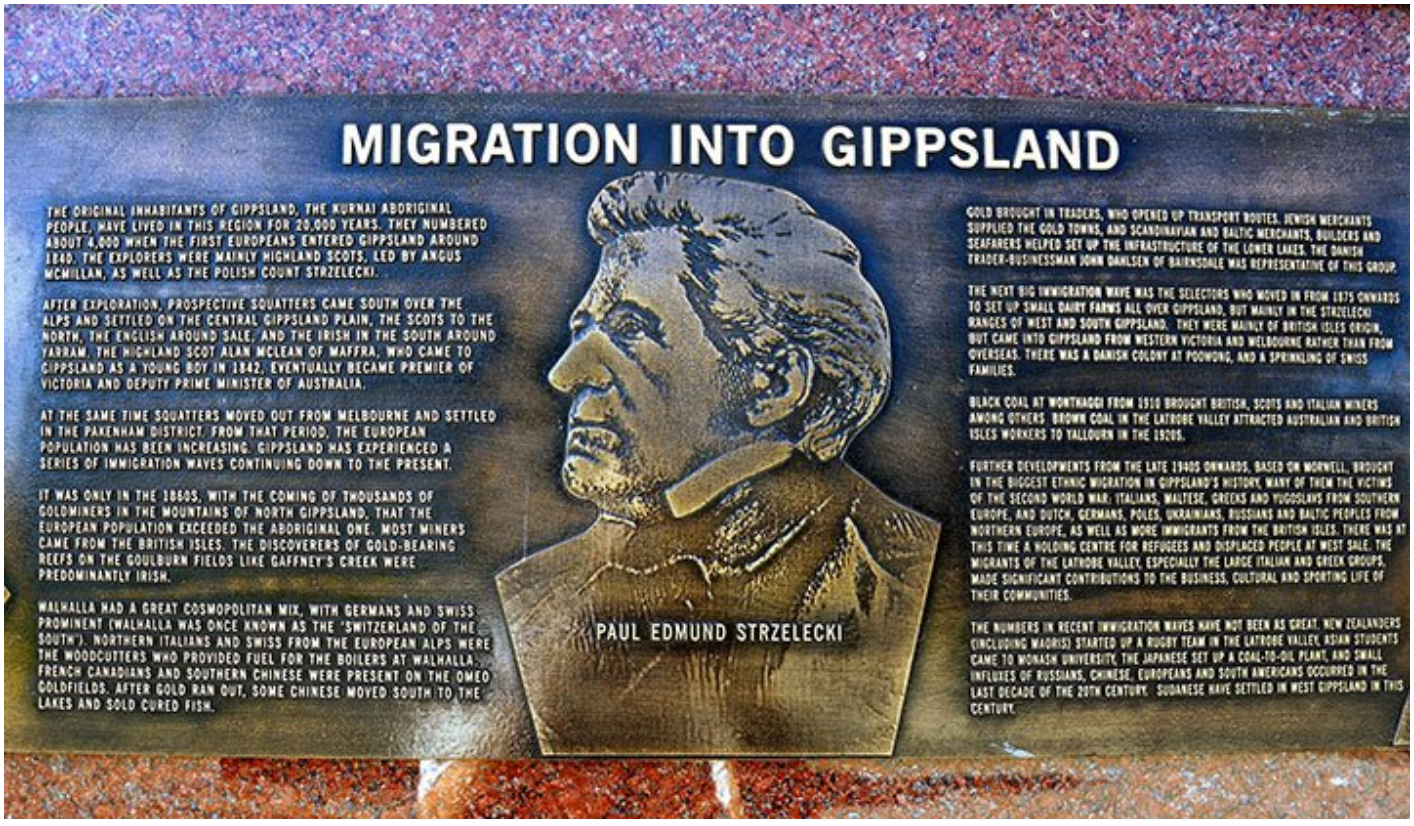
Ernestyna Skurjat-Kozek *(Sydney, Australia)*

Dawno, dawno temu, w zamierzchłym XX wieku, Orkiestra Symfoniczna Zachodniej Australii (WASO) wykonała kompozycję Polaka z Brisbane, Jana W. Politowskiego p.t. *Strzelecki Suite*. Jako dziennikarkę Radia SBS bardzo mnie ten temat zafrapował. Z jakiegoś powodu chciałam wejść w posiadanie partytury. Powiedziano mi wtedy, że uległa zniszczeniu, wręcz, że stracona została na wieki. Mijały dziesięciolecia. Kompozytor w międzyczasie umarł, a ja przeszłam na emeryturę i o *Suicie* zapomniałam. Dopiero teraz, opracowując plany obchodów Roku Strzeleckiego (w 150-tą rocznicę jego śmierci) zaczęłam zagłębiać się w nader ciekawe materiały archiwalne; dostarczyła mi je znana działaczka z Melbourne, Bożena Iwanowska, OAM. Były to wycinki z prasy australijskiej i polonijnej dotyczące roku 1997, kiedy to obchodzono w Australii Rok Strzeleckiego w dwusetną rocznicę jego urodzin. Tak oto weszłam w posiadanie ciekawych relacji z *International Strzelecki Festival in LaTrobe Valley*.

LaTrobe to krajobrazowo przepiękna i żyzna kraina, obfitująca w bogactwa naturalne, leżąca na terenie Gippslandu odkrytego w roku 1840 przez Pawła Edmunda Strzeleckiego. W roku 1926 postawiono na terenie Gippsland kilkanaście kamiennych pomników, a raczej pomniczków zwanych *cairns*, na cześć

Strzeleckiego. Potem była długa cisza i o zasługach Strzeleckiego przypominały tylko nazwy: Strzelecki Ranges, Strzelecki Motel, Strzelecki Brewery czy Strzelecki Bakery no i osada *Strzelecki* z zabytkowym w niej budyneczkiem *Strzelecki Hall*.

Osada Strzelecki ciągnie się na przestrzeni 9 mil między Warragul a Korrumbura. Prócz *Strzelecki Hall* znajduje się tutaj jedynie Strzelecki Uniting Church. A między tymi obiektami rozciaga się malownicza *Avenue of Honor. 1914-1918* upamiętniająca żołnierzy, którzy zginęli w czasie I wojny światowej. Miejscowa ludność to rolnicy, głównie anglosasi. Kiedyś dochodziła tu linia kolejowa, związana z eksploatacją węgla. Dawne czasy...



Morwell – w tym mieście mieści się Emigration Park, na zdjęciu tablica z portretem Strzeleckiego poświecona migracji do Gippsland, fot. Mariola Berwinska

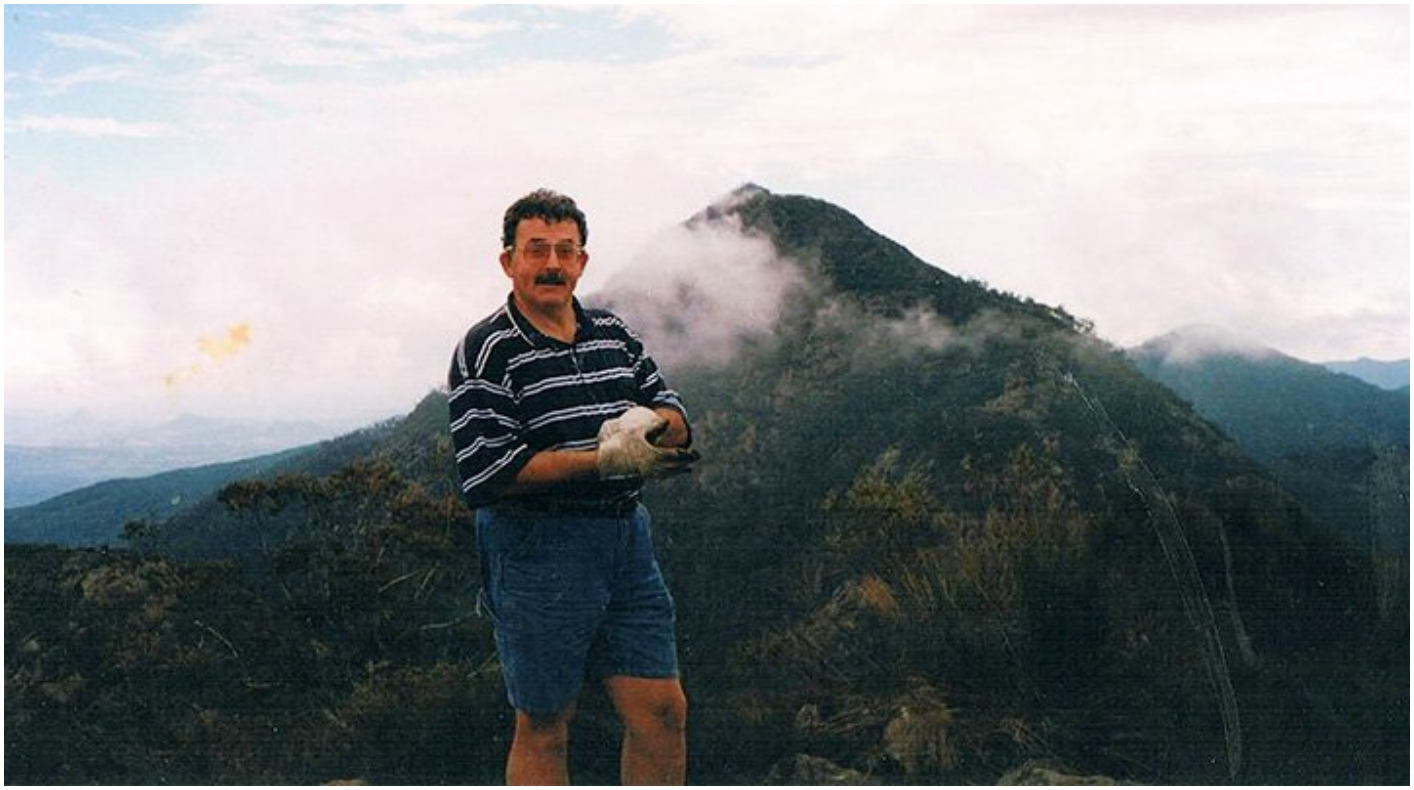
W roku 1966 pojawił się w osadzie Strzelecki, w tamtejszej szkole, polonijny artysta-medalier Artur Santowiak, mieszkaniec miasta Morwell na terenie Gippsland. Pan Artur ofiarował wtedy szkole aluminiową rzeźbę – podobiznę Strzeleckiego. Portret Polaka wisiał w szkole dopóki mógł, to znaczy do zamknięcia szkoły. Strzelecki Hall miał więcej szczęscia, bowiem został zbudowany na parceli ofiarowanej przez jednego z farmerów, nikt więc nie miał go prawa ruszyć. Gorszy był los szkoły, bowiem jako własność Departamentu Edukacji została rozebrana, parcelę sprzedano i tyle.

Portret odkrywcy przeniesiono do Hallu w nadziei, że tu kiedyś powstanie Muzeum Strzeleckiego. Póki co, rzeźba uległa dewastacji i Pan Artur zabrał ją do domu. Tak minęło 31 lat. Zanim doszło do renowacji, Pan Artur dostał zawału i przeszedł operację bypassu i dopiero jak wyzdrowiał, to pięknie odnowiony portet przekazał do Strzelecki Hall.

Uroczyste zawieszenie rzeźby odbyło się więc 9 kwietnia 1997 roku. Na ścianach Strzelecki Hall wisiały zdjęcia i artykuły z 1966 roku, których obecność Pan Artur odnotował z przyjemnością. A nie był sam! Wraz z nim przybyło prawie 400 Polonusów z Melbourne i LaTrobe Valley. Nic dziwnego, że

lokalna prasa (*South Gippsland Sentinial Times* z 16 kwietnia) pisała: „POLES INVIDE STRZELECKI". Sprawców „inwazji" witał szef Komitetu Peter Walsh, któremu Polacy wręczyli czek na ponad półtora tysiąca dolarów. Emeryckie składki przeznaczone były na renowację ośrodka. Z ówczesnych zapisków wynika, że gospodarze przygotowali smakowite BBQ, a przybysze dali występy artystyczne. Dookoła powiewały flagi polskie i australijskie. Kwietniowa impreza w Strzelecki Hall była tylko preludium do wydarzeń na większą skalę.

Oto w lipcu tego roku *Latrobe Valley Express* odnotował wspólne celebrowanie dwusetnych urodzin Strzeleckiego: „People toast Strzelecki birthday". W Latrobe Regional Gallery w Morwell otwarto okolicznościową wystawę przygotowaną przez Muzeum i Archiwum Polonii Australijskiiej przy wsparciu lokalnych organizacji: Związku Polaków i Klubu Seniora *Złota Jesień*.



Jan W. Politowski na sczycie Mt Barney Qld, czerwiec 2022 r.

Jak czytamy w archiwalnym *Biuletynie Seniora* (nr 5) w sierpniu 1997 roku zaczęto planować wielki festiwal Strzeleckiego, który miał się odbyć w dniach od 17 do 19 pazdziernika. Działano tu już ręka w rękę z władzami australijskimi. Festiwal swoim patronatem objął ówczesny premier Wktorii, Jeff Kenneth. Plany były imponujące. Będzie wystawiona sztuka Haliny Bielickiej p.t. *Strzelecki*, ze słynną aktorką Gosią Dobrowolską w obsadzie. Wystąpi znakomity pianista Sławomir Zumis, a Kazimierz Lewandowsiki zorganizuje widowisko „światlo i dźwęk", będą parady, mecze, festyny, odsłonięcie tablicy poświęconej Strzeleckiemu na Mt Fatigue oraz UWAGA! premiera *Suity Strzelecki*!!!

Wykonała ją *LaTrobe Orchestra* pod batutą Kathleen Teychenne.

Niedawno się dowiedziałam, że Kathleen to niezwykle popularna w owych czasach postać. Na 20 lat przed premierą *Strzeleckiego* nagrodzona została orderem **British Empire Medal** za wielkie zasługi w dziedzinie muzyki i kultury. Jak wynika z ówczesnych relacji *Suita* składała się z pięciu części nazwanych: *Alla Polacca, Kurniawa, Kopiec, Adyna oraz Hungry Jig*. Kurniawa to witkacowskie określenie na kurzawę, zawieję, czy śnieżycę, zawieruchę. Nie wiemy jakiego okresu życia Strzeleckiego dotyczyła owa zawierucha (okres powstania listopadowego?). Jasne natomiast było, że w dalszej części *suita* opowiada o Kopcu Kościuszki, którego budowę obserwował Strzelecki w czasie swego pobytu w Krakowie. Co do Adyny wiadomo – tu mamy wątek miłosny, losy dwóch rozdzielonych serc, wiecznej tęsknoty wyrażanej w listach pisanych przez długie lata. Tytuł *Hungry Jig* (jig to tradycyjny irlandzki taniec) sugeruje zapewne humanitarne działania Strzeleckiego w Irlandii. Tyle się możemy domyślać „fabuły" opowiadanej przez muzykę.



Jan W. Politowski, Strzelecki Suite, Adyna, fragment partytury

Kiedy tylko natknęłam się na wiadomość o premierze *Suity* naszło mnie dziwne pragnienie, żeby odszukać partyturę i zagrać kompozycję Politowskiego ponownie – teraz w Roku Strzeleckiego. Moje poszukiwania poszły dwoma torami. Napisałam do Jacka Sławomirskiego, skrzypka i dyrygenta z Perth, którego poznałam w zamierzchłym czasie, kiedy to z wozem transmisyjnym Radia SBS bawiliśmy na drugim krańcu Australii robiąc audycje na żywo. Emerytowany już muzyk

obiecał dostać się do archiwów WASO i poszukać partytury, wszak to on sam dyrygował Suitą w latach 90. Był wtedy dyrektorem artystycznym orkiestry. A Janek Politowski był jego starym przyjacielem, obydwaj pochodzili z Krakowa, obaj różnymi szlakami trafili do Australii. Janek mieszkał w Brisbane, był dyrygentem, ale czuł się przede wszystkim kompozytorem. Jego marzenie się spełniło, kiedy Jacek doprowadził do wykonania *suit*y w Perth. Słyszę też, że Janek był wyjątkowej rangi chórmistrzem, z tej racji często bywał w Melbourne. Może stąd go „zawiało” do Morwell, wszak to niedaleko?



Natalia Krysiak Sny o zmierzchu – pod eukaliptusem Strzelecki pisze list do Adyny, towarzysz podróży James Macarthur

drzemie, a aborygeński przewodnik medytuje

Jacek Sławomirski, jako się rzekło, uprosił archiwum WASO, by poszukało partytury *Suity*, bardzo potrzebnej w Roku Strzeleckiego. Moje emaile jednocześnie powędrowały do Morwell. Najpierw do pani burmistrz o ładnym, irlandzkim nazwisku. Strasznie frustrujące było czekanie na wyniki. Najpierw *bad news* z Perth. Znaleziono tam tylko kilka wyrwanych stroniczek, nadających się może tylko jako pamiątka do muzeum. Po mniej więcej miesiącu dostaję odpowiedź od delegata pani burmistrz. Oświadczył, że poszukiwania partytury w Gippsland zakończyły sie fiaskiem. Proponował jednak, abym napisała do osoby, która obecnie prowadzi orkiestrę LaTrobe, może ona przeszuka ich własne archiwa. OK. Napisałam do niej, ale z poczuciem, że marzenia łatwo się nie realizują. Już widziałam czarne kolory, kiedy nagle ze stanu żałoby wyrwał mnie telefon. – Hallo, Ernestyna? Tu Alison Teychenne, wiceprezes LaTrobe Orchestra. Spędziłam wczoraj pół dnia przedzierając sie przez kurze archiwum. No i mam good news! Znalazłam partyturę! I to na samym dnie! Miałam do ciebie napisać, ale pomyślałam, że taką wspaniałą wiadomośc powinnam ci przekazać osobiście. Wyobraź sobie, że na tej partyturze znalazłam coś napisanego ręką mojej babci – dyrygentki!

Obie piałyśmy z zachwytu przekrzykując się nazwajem. Wreszcie stało się jasne, że Alison chce zagrać suitę w Roku Strzeleckiego;

Jacek z Perth już petraktuje z tamtejszą orkiestrą, bo nagle i jemu zachciało się dyrygować, w Warszawie na partyturę czeka już dwóch zaprzyjaźnionych dyrygentow… I tylko biedny Poznań wraz z Głuszyną jeszcze nie wiedzą, jaką propozycję „nie do odrzucenia” mam w zarękawku…

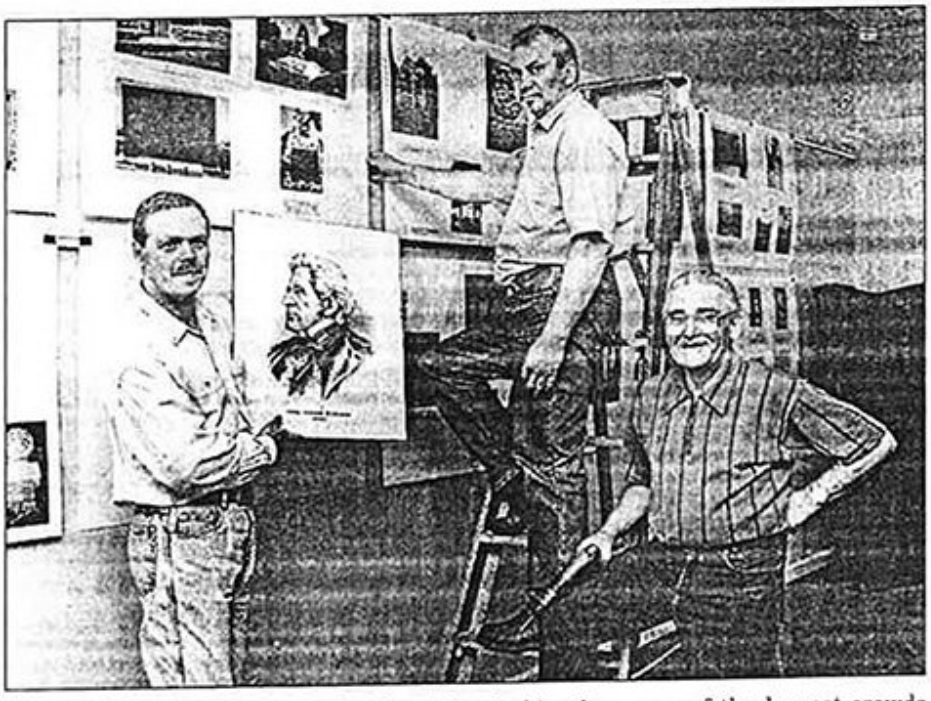
*

G A L E R I A



Gigantyczne drzewo typowe dla Gippsland, pod takim podobno nocował Strzelecki podróżując przez Gippsland

Exhibits to honor Sir Paul



MORE than 100 members of Polish communities from Melbourne and across Gippsland attended last Sunday's opening of an exhibition commemorating the 200th anniversary of Sir Paul E Strzelecki's birth.

The exhibition, to run for two weeks at the Latrobe Regional Gallery, honors the Polish explorer, scientist and historian who had a close association with Gippsland.

More than 100 items are on show at the exhibition, which kicks off major Gippsland celebrations for the year. It will run until 3 August and is one of several commemorative events planned.

An international festival will be held in Morwell from 17 until 19 October and will include a play, concert, soccer match, street parade and sound and light display.

The exhibition opening was attended by Polish Community Council of Victoria member Dr Zdzislaw Derwinski, who also welcomed the national president of the Polish Museum and Archives in Australia, Andrew Gozdzicki.

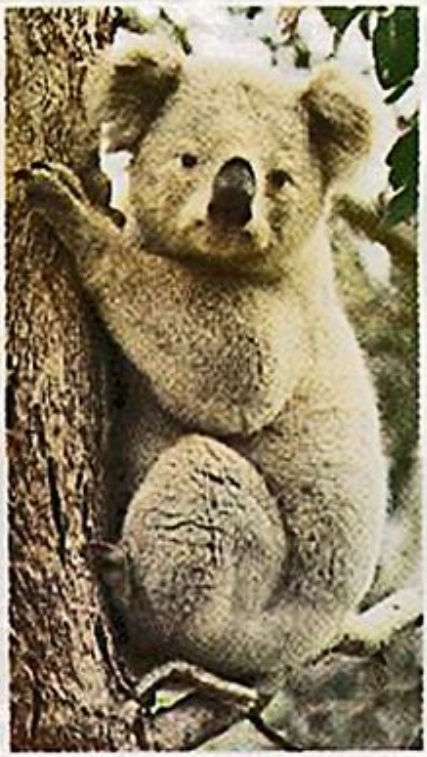
Festival committee member Keith Brownbill said the opening attracted one of the largest crowds ever at the gallery.

▲ Preparing for the exhibition are (from left) Dr Zdzislaw Derwinski and Polish community members Ryszard Grazewski and Artur Santowiak.

THE LATROBE VALLEY EXPRESS 24.7.97

Wystawa w Morwell w 1997 r., na zdjęciu po lewej dr Zdzisław Derwinski, założyciel i dyrektor Muzeum i Archiwum Polonii Australijskiej

Genetics of the Strzelecki Koala



A Strzelecki Koala. Photo: David Stickney

By Alix Williams

Monash PhD student Faye Wedrowicz will discuss the "Genetics of the Strzelecki Koala" at the Latrobe Valley Field Naturalists' Club meeting on Friday, 24 April.

Faye's research investigates the small remnant population of Strzelecki Koalas.

She is using genetic methods and DNA isolated from scats to estimate the population, approximate distribution, size and level of genetic diversity.

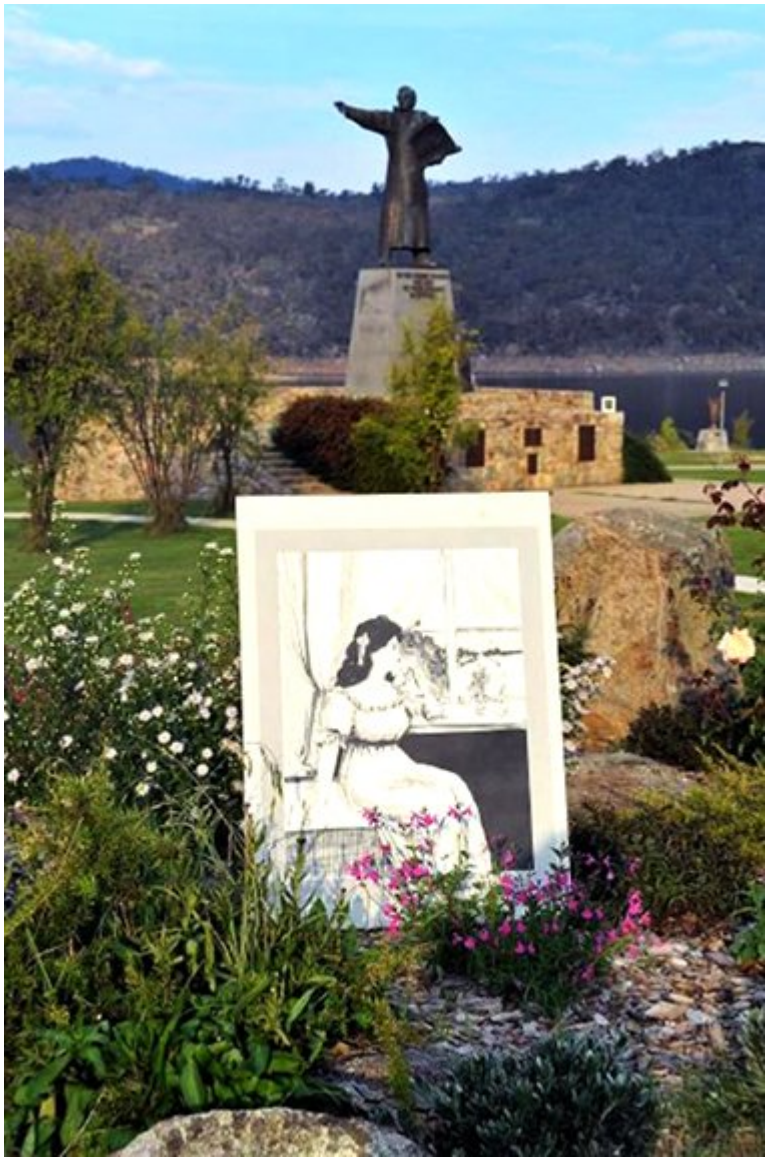
Her study is providing information to inform future management strategies for koalas in the Strzelecki region and across Victoria.

The meeting from 7.30pm is at the Uniting Church Hall on the corner of Old Sale Road and Chamberlain Road, Newborough.

On the following day there will be an excursion to the Morwell National Park.

Visitors are most welcome to both activities; there is no charge. For more information phone 5634 2246 or 5127 3393.

Koala nazwana imieniem Strzeleckiego, szczególny przypadek genetyczny, badany przez młodego naukowca polskiego pochodzenia



Obraz Adyny z kwiatkiem na tle Pomnika Strzeleckiego w Jindabyne miasteczku nieopodal Gory Kosciuszki, autorka obrazu Agnieszka Hasulak, fot. Felix Molski

STRZELECKI

INTERNATIONAL



FESTIVAL

MAJOR SPONSORS

The Latrobe Shire recognises the support of the major sponsors of the inaugural Strzelecki International Festival to be held over the weekend of 17-19 October, 1997



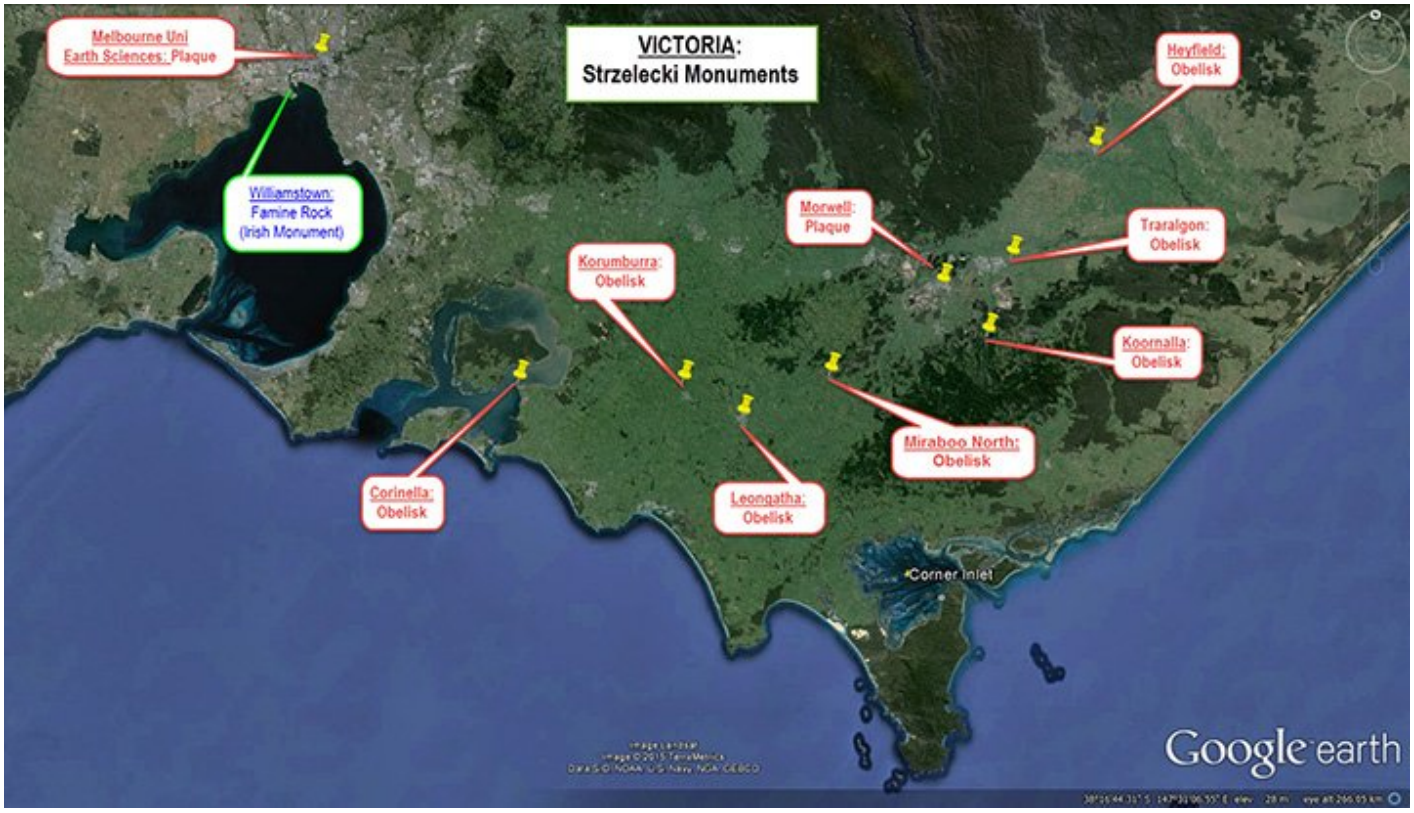
Robert Romanowicz, Adyna czytająca list od Pawła Strzeleckiego



Adam Fiala (Perth), Adyna dojrzała



W Gippsland znajduje się ufundowana przez Polonię i zamontowana nieopodal Mt Fatigue w roku 1997 tablica pamiatkowa. Przypomina ona, że w lutym 1843 roku kapitan brytyjskiej marynarki królewskiej statku BEAGLE, kapitan J.L. Stokes nazwał tę górę (Górę Zmęczenia) na cześć swojego przyjaciela, Pawła Edmunda Strzeleckiego



Mapa obelisków Pawła Edmunda Strzeleckiego w Gippsland

*

Zobacz też:

> Paweł Edmund Strzelecki – postać fikcyjna czy realny człowiek?

> Portret z kobietami, czyli Paweł Edmund Strzelecki żywy.

Adam na Księżycu. O polskiej przeszłości i literaturze z perspektywy australijskiej.



Adam Fiala, fot. Andrew Fiala

Z pisarzem Adamem Fialą rozmawia Teresa Podemska-Abt

Rozmawiamy ze sobą mailowo dwa lata. Pora na uporządkowania. Wyszło na mnie, bo Pan, o dziwo (!) i jak sprytnie (!), nie używa komputera. Zacznijmy od życia w Polsce. Jest Pan dzieckiem Lublina?

Moje ‘bio’ nie jest specjalnie skomplikowane. Tak, pochodzę z Lublina. Dziadkowie ze strony ojca żyli w Starym Samborze, niedaleko Czarnobyla. Dziadek Fiala był z pochodzenia Czechem lub Włochem. Dziadkowie ze strony Matki mieli nazwisko Kultys. Członkowie dalszej rodziny pojechali kiedyś na Litwę i ustalili, że Kultysi byli zubożałymi książętami i pracowali na roli, co traktowałem jako dobry dowcip. Moja matka była pomocnikiem

księgowego w RUCHU. Jako emerytka malowała ręcznie dewocjonalia dla Ars Christiana. W odróżnieniu ode mnie była bardzo religijna i nazywała swoją pracę malarstwem precyzyjnym. Ojciec, prawnik, był początkowo dyrektorem Poczt i Telegrafów województwa lubelskiego, a później – adwokatem. Fiala nie jest w Polsce popularnym nazwiskiem. Rodzice wzmiankowali o pewnym panu Fiali, który nie był z naszej rodziny, ale był przedwojennym szefem bezpieki. W jakimś czasie szkolnym nazywano mnie wrogiem klasowym i rozumiałem, że to było dwuznaczne. Śladem Ojca, poszedłem na prawo w Lublinie, po którym, a był 1963 rok, zostałem radcą prawnym. Pracowałem na prowincji na wielu półetatach i „ćwiartkach radcowskich". Po dwudziestu latach takiej pracy z Polski wyjechałem.

A kiedy zaczął Pan pisać? Pisać literacko, oczywiście, bo nie pytam o listy, choć „ludzie listy piszą'"zwykłe i niezwykłe jak *Wariacje pocztowe* Brandysa albo *Julia, czyli Nowa Heloiza* Rousseau.

Listy piszę od dziecka, jak wszyscy kiedyś. Wiersze pisywałem na studiach, ale jakby w stylu prozatorskim, bez metafor i ozdobników. Po latach znalazłem, że w podobnym stylu pisał w Los Angeles nieżyjący już Charles Bukowski. Moim ideałem ze względu na klarowność jest też Herbert, czasami jego wiersze są takimi mini nowelami poetyckimi, czyli – moim ideałem. Kiedy

miałem ze dwadzieścia trzy lata, debiutowałem w *Kamenie* tak zwanymi krótkimi formami, które puszczano w dodatku dla młodych pisarzy.Moich wierszy nikt nie chciał publikować, więc wziąłem się za prozę i mając ze dwadzieścia pięć lat, napisałem – jak to określono w krytyce promocyjnej wydawnictwa *Iskry* – powieść eksperymentalną: *Jeden myśliwy, jeden tygrys*. Był to luźny zapis; odbiegał od tradycyjnie skrojonej prozy. Redaktorzy się obawiali, że nie znajdzie czytelników, ale było odwrotnie. Próbowałem nawiązywać w tej prozie do książki *Buszujący w zbożu* Salingera. Nie wiem czy mi się to udało.

Kamena to z doskonały start pisarski. Przypomnijmy, czasopismo ukazywało się już przed wojną, początkowo lubelskie, później ogólnopolskie, działało do 1993 roku. _Kamena_ mierzyła wysoko i w swej historii miała wielu wybitnych współpracowników: Józefa Czechowicza, Józefa Łobodowskiego, Edwarda Stachurę, Władysława Broniewskiego, Tadeusza Bocheńskiego, a także Juliana Tuwima, Juliana Przybosia, Mieczysława Jastruna. Kogo Pan wspomina ze swoich w niej czasów? Czy zadomowił się Pan w niej tylko dlatego, że miała siedzibę w Lublinie?

Kamena była „pod ręką”. To zdawało się sensowne, żeby akurat z nią się związać. Była pismem z dużymi tradycjami i znakomitymi nazwiskami. Kazimierza Jaworskiego nazywano Kajem, zaś syna Marka Majem: prywatnie pisywałem o nich fraszki. Redakcję i

zespół czasopisma tworzyli wspaniali ludzie. Pamiętam Marię Bechczyc-Rudnicką, autorkę prozy zatytułowanej *Malerza raweńskiego owieczek dwanadzieście* wzorowaną na włoskich legendach z XVI wieku. Bardzo nas to anarchizowanie Pani Marii wtedy bawiło. Była znaną tłumaczką. W młodości była arystokratyczną damą tańczącą na dworze ostatniego cara, ale wcale jej to nie przeszkodziło zostać w PRL-u naczelną redaktorką. Była niezwykle żywotna: dobrze po dziewięćdziesiątce, w czasie stanu wojennego, samodzielnie wyjechała na wycieczkę do Paryża. Krążył o Niej taki absurdalny dowcip, że gdyby zapisywała się do WRON'u, spytałaby z pewnością czy trzeba będzie płacić składki członkowskie.

Ja natomiast wspominam pierwsze honorarium, jakie otrzymałem z *Kameny,* bo dla studenta kilkadziesiąt złotych w owych czasach to bajka. Było wtedy modne powiedzenie: „Student żebrak, ale Pan". Bardzo żałowałem, że *Kamena* się skończyła. Na początku mojej drogi w *Kamenie* myślałem o wierszach, lubiłem formę, ale nie to im się podobało. Moich wierszy w *Kamenie* nie lubiano, ale na szczęście (!) ceniono prozę. Mówiono: "Fialę się czyta". W *Kamenie* ludzie rozumieli, że widzę Polskę Ludową jako kopalnię ciekawostek obyczajowych. Byli oczywiście dużo lepsi ode mnie, jak Sławomir Mrożek, ale wtedy nie szło o rywalizację; wtedy wielu polskich pisarzy i poetów tworzyło w podobnym duchu. Częstą motywacją do pisania była ówczesna sytuacja polityczna, paradoksy społeczne, absurdy tamtego życia, a w

końcu sprzeciw i potrzeba artystycznego wyrażenia go, może zakamuflowania nim, pisaniem znaczy, niezadowolenia, no i oczywiście – chęć tworzenia.

Pisanie i upublicznienie własnego głosu także? Był Pan wtedy ambitny? Miał Pan przecież być prawnikiem, nie pisarzem.

Tak. I jedno i drugie. Myśleliśmy, że razem możemy coś zdziałać, ale chyba nie do końca mieliśmy w tym rację, bo państwo ludowe czuwało i choć w pewnym sensie było mecenasem, to wiele osób musiało wybierać, żeby omijać cenzurę. Moją ambicją nie było zostać prawnikiem, na ten kierunek naciskał mój Ojciec, mnie bawiło i pochłaniało obserwowanie życia, a że było dziwaczne, to i dziwacznie o nim było pisać i pisałem.

Z tą cenzurą w Pana przypadku nie było aż tak źle, bo w latach siedemdziesiątych, gierkowskich, minionego stulecia był Pan już autorem kilku wydanych książek: w 1976 roku ukazała się mikropowieść, którą Pan wspomniał, *Jeden myśliwy, jeden tygrys, w* 1978 – *Sprawy rodzinne*, a w 1979 – *Zygzakiem po prostej*. W 1979 roku czytelnik otrzymał też Pana opowiadanie: *Termiterium wisielców*. Krytyka literacka tamtego czasu zarejestrowała Pana jako pisarza ironicznego, skupionego na detalu. I istotnie, we wszystkich wymienionych tytułach odczytujemy autoironię

bohatera i satyryczno-ironiczną reprezentację rzeczywistości.

Z cenzurą było różnie. Mój debiut w PRL'u nie należał do brawurowych, ale fakt, zdobyłem w tamtym czasie pewną popularność. *Termiterium wisielców* opowiadało o ludziach mieszkających w tzw. socjalistycznym „mrowiskowcu" z prefabrykowanych płyt betonowych. Oni kochali teatr, zwłaszcza ten w TV polskiej. To co się działo wtedy i w tych mrowiskowcach było teatrem, stąd był mój zamysł na ten tekst. Wszystkie książki (siedem) wyszły w ćwierć milionowym nakładzie. Henryk Bereza poświęcił mi artykuł zawarty w swojej książce krytycznej, tytułu nie pamiętam, nie wiem nawet czy On jeszcze żyje. Pisał o mnie także, później chyba nieco, Emil Biela, któremu posyłałem długie listy pełne wrażeń z Australii, plus malunki i szkice miniaturowe, a On w rewanżu przesyłał mi wycinki z prasy literackiej w Polsce. Ostatnio pisze o mnie Pani, co poczytuję za dla mnie ważne, bo podoba mi się jak Pani pisze i widać w tym nie tylko warsztat akademicki, ale literacki i krytyczny talent pisarski. Dziękuję.

Miło, że tak Pan widzi moją pracę. Henryka Berezę przez jakiś czas czytywałam w *Twórczości*, jeszcze tu w Australii.

Dzięki Niemu zaistniałem. Zawsze mnie zaciekawiał. Mam pamięć do twarzy, a Bereza przypominał mi fizycznie Witkacego.

Poza tym pamiętam Go dobrze, bo mówił niezwykle oszczędnie i cicho. Raz się z nim spotkałem w jego mieszkaniu koło Pałacu Kultury, na wódce, którą mnie częstował. Twierdził wtedy, że pod jego mieszkaniem znajduje się ukryty warsztat, który pracuje w pewnych momentach i bardzo sprytnie się wycisza. Dało mi to do myślenia, ale o nic nie wypytywałem. Wiedziałem, że Bereza bardzo lubił dziwnych pisarzy i zastanawiało mnie dlaczego mną się interesował, bo ja sam uważałem się za średnio dziwnego. Do jego ulubionych autorów należał Jan Dżeżdżon z pochodzenia Kaszub, który pisał tak dziwne rzeczy i takim sposobem, że włosy na głowie stawały.

W którymś wywiadzie Bereza powiedział, że rozpoznał u Jana Dżerdżona „najwyższe wartości literackie". Nie jest tajemnicą, iż Bereza szukał w literaturze *nowego*, więc myślę, że chodziło Mu o nieschematyczność manifestującą się nie tylko mityzacjami i obecnością „snu" w prozie Dżerdżona, ale umiejętnym zacieraniem granicy między różnymi stanami i treściami życia. Obu łączyło zainteresowanie twórczością dla dzieci. Czytałam, że Bereza dobrze tańczył, był muzykalny i podobno doskonale pływał. Lubił być kontrowersyjny. Te Jego zalety prowadzą w kierunku Pana postaw i prozy, bo nie zabiega Pan o sławę, a nawet, jak w wierszu *mam*, chcąc „tworzyć tworzyć tworzyć/dla własnej/ we własnej/bańce mydlanej", Pana podmiot „kocha pisanie do szuflady". Poza tym, cechuje

Pana upodobanie do codziennego sportu, a Pana bohater do niczego nie zmierza, czyli reprezentuje to, co Bereza kiedyś ogłosił jako „koniec romantycznej tradycji” w naszej literaturze. Pana bohater to obserwator, poddający się, niemalże biernie, biegowi wypadków i rzeczywistości, biorąc z niej co się da.

Bereza miał udział w moim debiucie, a moim szczęściem, było, że znalazł we mnie oryginała. W zasadzie, powinienem się cieszyć, że mi to w ogóle wydali. Oczywiście, zadowolony byłem, bo co innego miałem do roboty. Cechuje mnie to, że od małego uprawiam kilka dziedzin sztuki i one mi się łączą. Zdaję sobie sprawę, że budzę pewne kontrowersje u ludzi, a niektórym zdecydowanie nie leżę. Moja proza jest jaka jest, a bohater jest zwyczajnym człowiekiem. Nie zawsze jest to bohater powieści, raczej tekstu, który w danym momencie piszę. Obojętne mi są kategoryzacje gatunkowe i wszelkie dyskusje o narracji. Niech się krytycy trudzą, ważne, aby było czym.



Adam Fiala, fot. Andrew Fiala

Żeby krytycy się trudzili, przy okazji – Henryk Bereza odszedł w 2012 roku, musi Pan publikować lub używać siły „linków”, mówiąc językiem komputerowym. Szkic, który Pan wspomina, pochodzi ze *Sposobu myślenia,* wydanego w 1989 roku. W tomie *O prozie polskiej* krytyk pisze, że Pana debiutancka powieść jest „na niby, ale ta niby-powieściowość jest (…) znakomicie umotywowana. (…) Chodzi bowiem o przenikliwe widzenie codzienności życia, o prześwietlenie jej charakteru i wymiaru”. W *Codzienności* krytyk interpretuje *Zygzakiem po prostej,*

twierdząc, że Pana narrator „jako osobowość jest funkcją nieskończoności powszednich działań, których kresem może być tylko śmierć”. Pana proza „jest opisowa, jak powieści niektórych osiemnastowiecznych pisarzy angielskich, (…) nie ma w niej nic poza czystym opisem zachowań społecznych ludzi w określonych historycznie układach rzeczywistości społecznej, nie ubarwia się tych opisów niczym, komentuje się je z rzadka (…), są to opisy, których prawda i literacka sugestywność biją w oczy”. Kwintesencją Berezowskich analiz jest wypowiedź na temat *Kiedy święci maszerują,* odtwarzającą „zbiorową chorobę”, a „[p]rzewrotność [utworu], polega na tym, że narrator występuje jak gdyby w roli entuzjasty turystyki (…)” i ma „pretensje do wycieczkowego pilota, że uchyla się od biegów od bazyliki do bazyliki i od podziwiania rewii „maszerujących świętych” (…). Krytyk uznaje, że powieść „jest finezyjnym studium znamiennego społecznego obłędu naszych czasów”. Przypomnijmy, narracja zasadzona jest na motywie podróży, cechują ją opisy ludzkich zachowań, a krytykuje Pan konsumeryzm, swoiste opętanie współczesnego człowieka i społeczeństw. Jak Pan tę Berezowską recepcję Pana utworów wspomina z perspektywy czasu? Czy tak Pan chciał, żeby były odczytane? Czy miał rację albo czegoś nie „wyczytał”, coś pominął, co było Pana zamiarem?

Jeden myśliwy, jeden tygrys był istotnie rzetelnym, a równocześnie osobliwym, zapisem rzeczywistości. Wypowiedzi, które Pani przytacza mnie zaskakują, ale głównie dlatego, że pisząc to nie miałem koncepcji powieści. Mój „art" był w jakimś sensie podświadomy. Jednym, a istotnym dla tych cytacji słów, jest słowo „zapis". Kiedy byłem uczniem zachwycałem się Charlesem Dickensem, szczególnie „Klubem Pickwicka". Henryk Bereza prawdopodobnie nie wiedział, że moim ulubionym polskim pisarzem był Miron Białoszewski jako prozaik. Jego *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* czytałem kilkanaście razy i nawet przywiozłem go do Perth, więc nigdy się z nim nie rozstałem. Mam taką teorię, że nawet, jeżeli nie czytam określonych książek, a one fizycznie istnieją obok mnie, w mojej bibliotece, to tak jakby ciągle były we mnie i ze mną. Bawiło mnie, że tak skomplikowaną społecznie i politycznie sprawę jak Powstanie można było ująć tak lekko, jakby ktoś spacerował po parku. Myślę, że Białoszewski patrzył na Powstanie oczami dziecka i ten sposób zapisu szalenie mi się spodobał. Ze słyszenia wiem, że inni krytycy niezbyt sympatycznie patrzyli na moje powieści i może w pewnym sensie mieli rację, bo ja właściwie nie lubię powieści, nie lubię tej konwencji. Powieść jest zagadana, dlatego napisałem tysiące aforyzmów. Pisałem zawsze tak jak rysuję i maluję, czyli spontanicznie, choć oczywiście nie tylko tak, ale nigdy nie wiem co mi wyjdzie nie tylko w finale, ale w całym procesie tworzenia.

Dziecko widzi i słyszy inaczej niż dorośli, bo nie jest „skrzywione" edukacją, dziecko mówi prosto, jego postrzeganie jest autentyczne, ale ja narrację *Pamiętników o*kreśliłabym jako „spiętrzenie strzępów" mowy. Naturalnie celowe, bo obrazujące sytuację: w natłoku zdarzeń i zagrożenia śmiercią nie ma czasu na normalność, zatem na budowanie kunsztownych zdań. Z drugiej strony, język *Pamiętnika* to „gadanie", tyle, że nie o byle czym, a o katastrofie i (prze-)życiu zapisanym „mową więzi ulicznej" Warszawiaków. Więc, dla mnie to mowa słyszana w tramwaju, na ulicy, w kolejce. Tak o wojnie mówiło pokolenie moich Rodziców, a mój Ojciec – o swoich potwornych przeżyciach w Auschwitz i Buchenwaldzie. Oni mówili jakąś „niedo-mową" pełną pauz i napięcia. Podobnej ekspresji używa młodzież, gdy opowiada o podwórkowych bójkach, wypadkach, zaskakujących sytuacjach. Innymi słowy, mówię tu o języku ruchu i emocji, gdzie słyszę gorączkowość, falstart, emocjonalnie zapamiętane daty. U Białoszewskiego napięcie i strach zamykane są lub poskramiane śpiewem i żartem, co na przykład ma miejsce, gdy bohaterowie są w schronach. Wie Pan (?), Białoszewski uważał, że „pisanie nie może zjeść mówienia", bo „to z napisanego – jest potem mówione na głos". W *Pamiętniku* realizuje tę poetykę, mamy tam coś w rodzaju transkrypcji autentycznego ustnego dokumentu doświadczenia zbiorowego różnych grup, przy czym mówi

nie tylko Miron, ale miasto. Niedawno obejrzałam oratorium napisane na bazie *Pamiętników*, z muzyką Mateusza Pospieszalskiego, w reżyserii Jerzego Bielunasa. Czas przedstawienia – jak w relacjach Białoszewskiego – nie szedł łatwo, był lekcją do przeżycia, czasem emocji i dramatu. Jeśli Pan tego widowiska nie oglądał, polecam, zrealizowano je w 2009 roku i jest dostępne w Internecie.

Zobaczę co to jest, bo ten język w *Pamiętniku* jest dla mnie taki ważny dlatego, że Białoszewski o dramatycznych sprawach potrafił napisać tak jak o jedzeniu klusek, czy kapuśniaku. Ja się na literaturze nie znam tak jak Pani, ale ja ją czuję.

Bawi mnie fakt, iż ciągle pisze Pan na mechanicznej maszynie, a emaile do mnie dyktuje Pan Annie, żeby mi je szybko dostarczyła! Właściwie rozmawiamy ze sobą dzięki wspaniałomyślności pańskiej żony. Nie krępuje Pana brak niezależności? Nie ufa Pan kartce elektronicznej? Internetowi?

Maszyna do pisania ma duszę. Czcionki się odbijają w różny sposób, charakterystyczny dla danego egzemplarza. Wiadomo co jest oryginałem, a co kopią. W komputerze tego nie ma. Stukot maszyny inspiruje mnie w większym stopniu niż klikanie. Wszystkie moje teksty w Polsce pisałem od razu w trzech egzemplarzach. Ja nie chcę być nonsensowny, ale podobno

Mozart pisał swoje utwory od razu i bez skreśleń: ta idea bardzo mi się spodobała. W domu nie mam PC, bo mam coś w rodzaju studia muzycznego, które zajmuje trochę miejsca, ale też studio to instrumenty i dźwięki, a komputer to akustyczna niemota. Elektronicznej kartce i temu tak modnemu dziś systemowi internetowemu ufam choćby dlatego, że to jest jedyna szansa, żebym się choć troszkę wychylił na świat. Jestem słaby w technologii, być może w związku z moim podeszłym wiekiem, ale Internet według mnie jako źródło przekazu daje rzecz najważniejszą – niezależność. Nie daje niezależności fakt, że komputera dla mnie używa Anna. Pani ma lepiej, bo jest niezależna.

Zawsze można powiedzieć, że Pan ma z tego korzyść mediumiczną i w tej samej chwili ma Pan kontakt z Anną i ze mną, czyli sprytnie wykorzystuje Pan „towarzyski" potencjał komputera! W moim życiu komputer, wcześniej procesor, jest od ponad trzydziestu pięciu lat. To moje pióro, katalizator, komunikator, poczta, biblioteka, archiwum, odbiornik. Mój osobisty współczesny wielomedialny Golem, który mogę włączyć i wyłączyć na własne życzenie (jak to zrobił Lem z Golemem XIV). Przejdźmy do tematu twórcy i jego pracy. „Twórca" to określenie jednocześnie magiczne i kłopotliwe. Ryszard Krynicki, zapytany (to spotkanie wrocławskie z Nim ciągle pamiętam, był rok chyba 1980) „jak tworzy", powiedział: „a

chodzę sobie, tak chodzę wkoło stołu lub po plaży i wymyślam”. Jak Pan odpowie na to pytanie? Co jest Pana „motorem”? To rodzaj wewnętrznego przymusu? Niepokój, pasja? Co każe Panu tworzyć? Zaczyna Pan od gotowej koncepcji? Czy może szuka Pan tego w trakcie aktu twórczego? Jak to z Panem, Pana malowaniem, rysowaniem, pisaniem jest? Chodzi Pan? Siedzi? Pisze automatycznie w nocy? Znane jest Panu „nicnierobienie” Białoszewskiego?

Moja sztuka wynika z wewnętrznego przymusu, który mi dyktuje jak poruszać ręką i czy i jak układać słowa. Nie jest dla mnie ważne czy to ma być arcydzieło czy będzie to miało wartość materialną. Cechą moją jest niesamowita systematyczność. Potrafię codziennie malować czy rysować tylko przez godzinę, ale paradoksalnie pracuję przez całą dobę, bo mam przy sobie zawsze skrawek papieru. Notuję myśli nawet w środku nocy i spokojnie dalej zasypiam. W ten sposób zbiera mi się więcej prac niż artystom, którzy tkwią całymi dniami, czy nocami przy sztalugach, ale robią to nieregularnie. Identycznie jest z pisaniem i z muzyką. Z papierem się nie rozstaję. W plecaku, który jest moim „znakiem firmowym”, mam zawsze papier i długopis. Dlatego w każdym miejscu mogę zapisać fragment wiersza czy piosenki. Ponieważ żyję skromnie i nie mam pracowni, „art” chowam pod szufladami szaf, zaś rękopisy trzymam w dwóch dużych torbach turystycznych. W ten sposób

unikam słynnego pisania do szuflady tak podobno znienawidzonego przez wszelkiej maści twórców, ponoć za ostrzejszej komuny polscy pisarze w kraju pisali do szuflady. Jak nastąpiła odwilż po Gomułce polecono im je otworzyć. No i co? Były puste. Zamysł czy koncepcja potrafi mi się zrodzić na długo przed pisaniem czy malowaniem i nabiera mocy jak wino. Czytałem, że Henryk Sienkiewicz, który miał słaby wzrok, obmyślał swoje utwory na polowaniach. Czasami mam gotową koncepcję tego co rysuję, czy piszę, ale w trakcie działania najczęściej ulega ona zmianom, bo dodaję spontanicznie jakieś nowe elementy. W odpowiedzi na żart o Krynickim i Białoszewskim nie zawsze chodzę i zawsze coś robię.

Pewnie nawet jak Pan leży, jak u Białoszewskiego: „takie leżenie-my lenie jak ja lubię/ to jest niedobre z natury/ bo niech ja w naturze/ tak sobie leżę-myślę/ to zaraz napadnie mnie coś i zje". Dobrze, to wiemy już jak Pan tworzy i leży, a brakuje Panu czegoś, kogoś? Plaże i ocean to jedno z pańskich oczarowań Australią i zachwytów przyrodą, o czym czytam w autotematycznym wierszu *Australijskie fascynacje Adama,* ale w: *Plaży,* podmiot mówi: "Polskie morze wydawało mi się/ bardziej nostalgiczne niż Ocean Indyjski/ (nawet mewy miały inny głos)/ Droga między rajem i krajem/ Jest długa", a w „Paradoksie" czytamy: Jest taki paradoks/ że Polskę wyczuwa się lepiej/ będąc za granicą/ Iwaszkiewicz pisał swoje/ *Podróże do Polski*/ w

hoteliku w Wenecji/ (…)/ Miłosz dostał Nobla/ za spojrzenie na kraj/ z zewnątrz/ Wańkowicz i Kuncewiczowa/ wyczuli, że życie w PRL-u/ nie jest znowu/ takie koszmarne/ oficjalnie/ i wśród czytelników/ odnosili sukcesy". Więc jak to jest? Tęskni Pan za Polską? Za czymś specyficznie? Starymi drzewami, lasami, plażami, miastami? Ma Pan tam kogoś bliskiego? Utrzymuje pan kontakt z kimś ze środowiska, z którego Pan wyszedł?

Oczywiście tęsknię, tęsknię za babim latem jesienią, dymami na polach po kartofliskach, ciągle widzę obraz Chełmońskiego przed oczami…, i za skrzypiącym śniegiem migocącym w słońcu, czytałem taki ładny Pani wiersz o tym, i – przede wszystkim – za bardzo świeżą wiosenną zielenią. Ja mam Polskę w pigułce dzięki „Wydarzeniom" w TV Polsat, ale czasami bardziej niż treść tych audycji interesują mnie polskie drzewa, alejki, parki, stare dworki, które przy jakiejś okazji pokazują. W tej dziedzinie korzystam również z Internetu. Tutaj nie ma tej świeżości zieleni co tam. Wiosna wybucha w buszu jedynie masą drobnych kwiatów. Jeżeli chodzi o miasta to tęsknię za czymś drobniejszym, jak Kazimierz Dolny nad Wisłą. Także Lublin. Najmniej tęsknię za Warszawą, pomimo że przebywałem w niej kilkanaście lat. Przed oczami mam ciągle, zwłaszcza we snach, omszały pomnik radzieckich żołnierzy, tzw."Śpiących" na Pradze. Moja nostalgia nie jest groźna, bo w Polsce rodziny już nie mam, ta bliska mi wymarła. Inna rzecz, że być może upływ czasu i

moje ironiczne usposobienie przerwały moje kontakty z Polską. Jest wyjątek, bo dobrze ciągle się porozumiewam z poetą Grzegorzem Zienteckim, byłym dalekomorskim marynarzem, lublinianinem z pochodzenia. Nauczyłem się od Niego pisać haiku i mam ich w tej chwili około czterystu, a ciągle „produkuję”. Zientecki bardzo lubi moją sztukę, dlatego ciągle mu coś posyłam w podarunku. Ostatnio z Henrykiem Rejem, nie z Nagłowic, ale z Tych, wydaliśmy w Polsce wspólnie książkę *Head made*, z Jego aforyzmami i moimi ilustracjami. Oczywiście jest w kraju mój wydawca, Mieczysław Mączka z *Miniatury,* którego cenię za humor i ironię zbliżoną do mojej. Muszę dodać, że dzięki pewnej Pani Teresie Podemskiej krąg moich znajomości odżywa i jakby się poszerzał.

Wywiad ukazał się w: *Rita Baum*, 2017. nr 43, wiosna, s.71-5.

*

Zobacz też:

> Adam Fiala. Artysta niepokorny.

Adam Fiala. Turpizm australijski.

Adam Fiala – wiersze i rysunki

Wokół drugiej żony Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego

POLONICA

Bogumiła Żongołłowicz *(Melbourne, Australia)*

*



Lucyna i Konstanty Ildefons Gałczyńscy, Höxter, 1945 r., fot. arch. Bogumiły Żongołłowicz, kopia

> Pokochałem ciebie w noc błękitną,
> w noc grającą, w noc bezkresną.
> Jak od lamp, od serc było widno,
> gdyś westchnęła, kiedym westchnął.
>
> Pokochałem ciebie i boso,
> i w koronie, i o świcie, i nocą.

> Jeśli tedy kiedyś mi powiesz:
> Po coś, miły, tak bardzo pokochał?
> Powiem: spytaj się wiatru w dąbrowie,
> czemu nagle upadnie z wysoka
> i obleci całą dąbrowę,
> szuka, szuka: gdzie jagody głogowe?
>
> 1945
>
> *Konstanty Ildefons Gałczyński*

*

*

Ten temat, ta sprawa leży mi na sercu od ponad ćwierć wieku. Może dlatego, że dziś tak wiele słyszy się o Lwowie w kontekście napaści Rosji na Ukrainę, a moja bohaterka była rodowitą lwowianką – nadszedł czas, aby zrzucić z siebie niewygodny ciężar. Mowa tu o drugiej żonie poety Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, znanej pod trzema nazwiskami: Łucja/Lucyna Wolanowska – Lucyna Gałczyńska – Lucyna Pyka.

Ja będę o niej pisać jako o Lucynie Wolanowskiej, ponieważ pod tym właśnie nazwiskiem zaistniała w polskiej, i nie tylko,

literaturze. A zaistniała jako, „dziewczyna z kacetu, ale nie z tych politycznych”; „obozowa miłość Poety”, jedna z kobiet, z którą ojciec [Kiry, przyp. autorki] „miał relację w czasie wojny”; „kochanka”, z którą – „jak się potem okazało – miał dziecko”, „córka byłego generała armii austriackiej ze Lwowa”; „więźniarka Oświęcimia”. Fakt, że poznałam adresatkę tych mijających się z prawdą i często obraźliwych wypowiedzi różnych żurnalistów, którzy zapomnieli, że specyficzny charakter pracy dziennikarza domaga się elementarnej uczciwości w realizowaniu zawodowej misji, zmusza mnie do zabrania głosu. Żurnaliści czerpali z poprzedników, dokładając informacje wyssane z palca, zamiast dociekać prawdy. A przecież chodzi tu także o życiorys jednego z najwybitniejszych poetów polskich XX wieku.

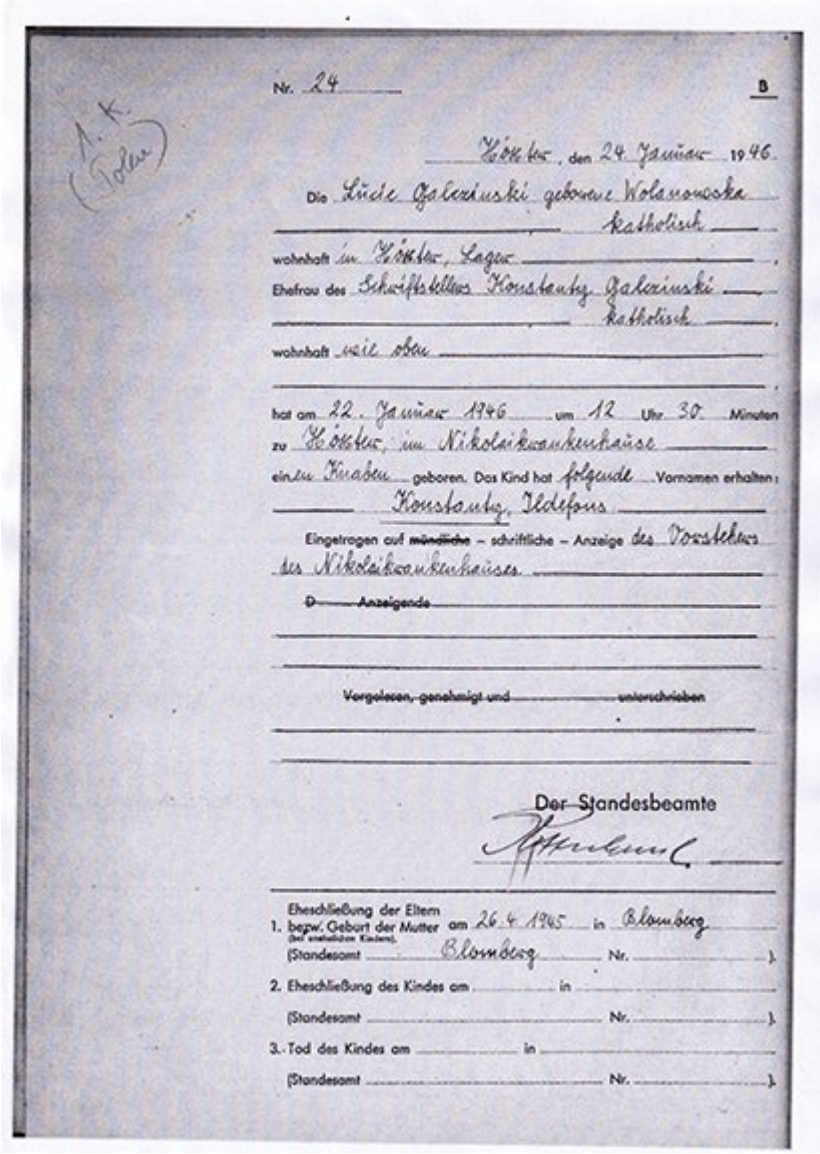
Jedyny syn poety Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego zmarł 4 kwietnia 2020 roku w wieku 74 lat na północy Australii. Jego śmierć zaskoczyła wszystkich. Najbliżsi mówili o błędach medycznych. Z powodu epidemii Covid-19 i zakazu masowych udziałów w pogrzebach na Terytorium Północnym, w pożegnaniu Kostka w kaplicy Thorak w Darwin, które odbyło się dziesięć dni później, wzięła udział głównie najbliższa rodzina. Transmisję *on-line* obejrzało więcej osób. Ja na moim komputerze w Melbourne.

Jako pierwszy wystąpił Damian Parker – pierworodny syn zmarłego.

Konstanty (Kostek) Ildefons Gałczyński, nasz ojciec, Steve Parker , urodził się 22 stycznia 1946 roku w Höxter w Niemczech, jako syn Lucyny Wolanowskiej i Konstantego seniora – powiedział. – *Jego matka została ledwie co wyzwolona z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Żeby móc przeżyć w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu wielu ludzi nie mówiło wszystkiego o sobie. Prawda nie była oczywista. Stąd nie ma pewności, że byli małżeństwem. Związek ten nie przetrwał.*

Jak to często bywa, najbliższymi, ich przeszłością, zaczynamy się interesować dopiero po ich śmierci. Krótko po pogrzebie Gabrielle (Gabi) Parker – najstarsza córka zmarłego – napisała do Urząd Stanu Cywilnego w Höxter. Odpowiedź na pytanie o akt małżeństwa jej dziadków ze strony ojca wysłała Doris Müller mejlem 23 kwietnia 2020 roku.

Droga Gabrielle Parker. Nie umiem dobrze pisać po angielsku. Więc powiem tylko, że data ślubu to 26.04.1945. Pobrali się w mieście Blomberg . Do mejla dołączony był skan dokumentu zawierający również informację, że Konstanty Ildefons junior przyszedł na świat 22.01.1946 roku w szpitalu St-Nikolai. O godzinie 12.30. Wyjątkowy prezent na czterdzieste pierwsze urodziny poety, które wypadały następnego dnia.



Nr. 24 B

Höxter, den 24. Januar 1946.

Die Lucie Galczinski geborene Wolanowska
katholisch
wohnhaft in Höxter, Lager
Ehefrau des Schriftstellers Konstanty Galczinski
katholisch
wohnhaft wie oben

hat am 22. Januar 1946 um 12 Uhr 30 Minuten
zu Höxter, im Nikolaikrankenhause
einen Knaben geboren. Das Kind hat folgende Vornamen erhalten:
Konstanty Ildefons

Eingetragen auf ~~mündliche~~ – schriftliche – Anzeige des Vorstehers
des Nikolaikrankenhauses
~~D~~ Anzeigende

~~Vorgelesen, genehmigt und unterschrieben~~

Der Standesbeamte

Eheschließung der Eltern
1. bezw. Geburt der Mutter am 26.4.1945 in Blomberg
(bei ehelichen Kindern)
(Standesamt Blomberg Nr.).
2. Eheschließung des Kindes am in
(Standesamt Nr.).
3. Tod des Kindes am in
(Standesamt Nr.).

Kopia dokumantu z Urzędu Stanu Cywilnego w Höxter, zaświadczającego o narodzinach Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, syna Lucyny i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskich w dniu 22.01.1946 r., gdzie podane są również miejsce i data zawarcia przez nich małżeństwa: 26.04.1945 r., Blomberg, fot. arch. Bogumiły Żongołłowicz

Pani ze Lwowa?! – poznał po akcencie krępy mężczyzna w średnim wieku, który bandażował Lucynie Wolanowskiej poranione stopy. – *Jak raz na mnie spojrzał, to już oczu nie oderwał* – wspominała po latach pierwsze spotkanie z poetą moja

rozmówczyni . Gdy zobaczył, że ma organki, poprosił, aby coś zagrała. – *Jak pani gra, zdaje mi się, że dwanaście aniołów jest przy mnie* – powiedział wzruszonym głosem. Kiedy następnego dnia przyszedł rozkaz, że małżeństwa mają wyjeżdżać razem, a samotni osobno, poprosił ją o rękę. Ślubu udzielił im ksiądz Jan Planeta w szopie, po której hulał wiatr. Takich par jak oni było więcej.

Lucyna stanęła na „ślubnym kobiercu" w sukni ze spadochronu i w butach, które kosztowały paczkę papierosów. Konstanty wystąpił w przechodzonym mundurze. Wiedziała, że pisze wiersze, ale nie to jej imponowało. Wychodziła za mąż za przystojnego i ciekawego mężczyznę. O tym, że w Polsce ma już żonę, dowiedziała się, gdy była w czwartym miesiącu ciąży. – *Ksiądz dał ślub, to co ja miałam… abdykować?…* – zapytała, nie oczekując odpowiedzi.

Do narodzin dziecka mieszkali w kasynie oficerskim w obozie przejściowym w miasteczku Höxter. Willę z niemiecką obsługą zajmowało dziesięciu polskich oficerów. Oni byli jedynym małżeństwem. Lucyna pracowała w centrali telefonicznej UNRRA. Konstanty jako tłumacz często był nieobecny. Mimo tego, znajdowali czas dla gości, niekiedy tak wyjątkowych jak księżna Maria Ogińska i hrabianka Janina Potocka, która podarowała Konstantemu skrzypce. Urządzali u siebie „koncerty" na dwa instrumenty.

Poety nie było przy narodzinach syna, choć zapewniał, że wróci na czas z jednej ze swoich licznych podróży. Dwudziestego szóstego grudnia 1945 roku pisał z Paryża:

Kochany Ptaszku,

zrobiłbym krzywdę sobie i Tobie, gdybym ruszył się z powrotem, który jednak wyznaczyłem sobie na koniec stycznia; mówię krzywdę, bo to, co zyskuję tutaj przyda się bardzo Tobie i mnie i naszemu Kochanemu Bajbuskowi. Więc (…) ufaj mi, a ja Ciebie, mój Ptaszku, nie opuszczę. Myślę, że dostałaś ode mnie parę słów z Münster, które wysłałem przez kolegę tenora Guilsona. Dałem wtedy pierwszy dowód, że mimo wielu cudownych rzeczy, które oglądam, nie zapomniałem o Tobie, żeś mi bliska i kochana. Wiedz, że prawie zawsze, ile razy idę spać, całuję te perłowe guziczki, które przyszyłaś do piżamy. Tak w tych guziczkach widzę ciągle koło mnie Twoją serdeczną troskę. I tu z daleka rozumiem, jak byłaś i jesteś mi potrzebna, ile dobrego wniosłaś mi w życie, troskliwego, żoninego.

Chcę, żeby ten list do Ciebie jak najprędzej dotarł, żeby Ci powiedział wszystko, bo wiem, że niestety [martwisz się] niepotrzebnie. Ale taka już jesteś i taką Cię pokochałem. Mam nadzieję, że Kazio nie zanadto podwala się do Ciebie, a pułkownik, do którego jutro napiszę, opiekuje się Tobą. Jeśli znajdę jakąś okazję to postaram się ten list wysłać jakąś szybszą

drogą.

Niech Ci wszystkie moje najczystsze myśli pomagają w urodzeniu Bajbuska. Będę przy Tobie przed jego urodzeniem. Módl się za mnie, a ja się modlę za Ciebie.

Twój Kot[5].

Ptaszek to Lucyna, Kot – Konstanty Ildefons Gałczyński, a Bajbusek – oczekiwane dziecko.

Wróćmy do Lucyny Wolanowskiej. Do bzdur na jej temat. W bardzo niewybredny sposób, nie biorąc pod uwagę, że krzywdzi nieznaną mu kobietę (za jej życia), wypowiedział się na łamach londyńskich „Wiadomości" Wojciech Wasiutyński[6]:

Konstanty Ildefons Gałczyński znalazł odpowiednie miejsce na polskim Parnasie. (…) Zasługuje więc na to, by wszystko, co o nim wiadomo opublikować. I póki czas, opublikować prawdziwie bez brązu i „odtwarzania". Ponieważ tak się składa, że pewnych wspomnień o Gałczyńskim nikt poza mną nie ma, wydaje mi się konieczne ich spisanie bez upiększeń i udziwnień.

(…) Z chwilą klęski Niemiec (…) ruszył na wędrówkę i oparł się w obozie w Hesji. Gdy doszła mnie wiadomość, gdzie jest (…) postanowiłem przywieźć go do ośrodka prasowego Pierwszej

Dywizji Pancernej w Quackenbrück. Sytuacja Gałczyńskiego w obozie okazała się skomplikowana. Po przybyciu tam zamieszkał z jakąś dziewczyną z kacetu, ale nie z politycznych. Jak mówili inni mieszkańcy obozu „wsiadła na niego". Niedługo potem powiła dziecko i wmówiła w poetę, że to jego. Gałczyński uznał chłopca i zapisano go „Ildefons Gałczyński" (podkr. autorki). (…) Zwróciłem Konstantemu uwagę, że ma prawdziwą żonę i prawdziwe dziecko, które są gdzieś w Polsce i że z tą fantazją czas skończyć. Dał się zabrać jeepem na północ[7].

W 2000 roku ukazał się „Zielony Konstanty, czyli opowieść o życiu i poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego". Kira Gałczyńska wyjaśnia we wstępie powody kolejnego wydania biografii swojego ojca:

Moim zadaniem było z jednej strony wyjście naprzeciw dużemu wciąż zainteresowaniu osobą i twórczością autora „Niobe", z drugiej – możliwie precyzyjne poprawienie bardzo licznych przeinaczeń, kłamstw, niedomówień, dowolności interpretacyjnych, błędów i podobnych manipulacji, hojnie rozsianych w wielu omówieniach i pracach krytycznych poświęconych K.I.G. Nie mam zamiaru ingerować w legendę poety (…). Prostowałam jedynie te przeinaczenia faktów i zdarzeń, które w rzetelnej biografistyce nie mogą mieć miejsca, a które na ogół wypływają z niewiedzy, niedoinformowania, z lekceważenia wreszcie potrzeby częstego sięgania do źródeł, do

dostępnych zasobów archiwalnych[8].

Autorka, mimo tych zapewnień, pomija w książce drugie małżeństwo ojca. *Koresponduję do dziś z panią Wolanowską-Pyką* – można przeczytać na 215 stronie. – *Jej listy są smutne, pełne młodzieńczych wspomnień o Lwowie, który nadal uważa za najpiękniejsze miasto świata…* W „Zielonym Konstantym”z 2011 roku zmienia czas teraźniejszy na przeszły: *Przez lata korespondowałam…* I tyle. Żadnych pytań o ślub. A zapewne to najbardziej ją interesowało. Wolanowska była osobą rozmowną. Jeśli miała coś do ukrycia, to datę swoich urodzin (do Australii przyjechała odmłodzona o dwa lata). O pożyciu z „zielonym Konstantym” opowiadała bez żenady.



Lucyna Gałczyńska z synem Kostkiem, koniec lat 40. XX w., fot. arch. Bogumiły Żongołłowicz

Nie była więziona w Oświęcimiu, jak podaje Kira Gałczyńska i prawie wszyscy biografowie poety. Nie była „pędzona przez hitlerowców na zachód” i nie była „córką generała”. Pierwsze Kira powtórzyła prawdopodobnie za przyrodnim bratem (bo mnie mówił to samo), drugie nie wiadomo skąd wzięła, a trzecie podała za Feliksem Fikusem, oficerem łącznikowym przy komendzie obozu.

To Fikusowi dała Lucyna list i zdjęcia z prośbą o przekazanie – wciąż jeszcze jej mężowi. Na zdjęciach był synek poety i ona sama. „Przyjaciel” nie spełnił prośby. W Krakowie zobaczył Natalię i Kirę u boku Konstantego. Nie chciał burzyć rodzinnego szczęścia. W 1973 roku przekazał list ze zdjęciami do Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie na ręce dyrektora Janusza Odrowąża-Pieniążka, zastrzegając, że nie mogą być nikomu udostępniane.

Odrowąż-Pieniążek przekazał reprodukcje przechowywanych zdjęć i kopię listu Fikusa po 25 latach – do ewentualnego wykorzystania – redakcji tygodnika „Przekrój”. Zdarzyło się to, kiedy w Polsce przebywał po raz trzeci Gałczyński junior. Przyjechał z Australii z żoną Lyn i córką Kirą Jean. Z przyrodnią siostrą – jako „przewodniczką” – zwiedzał Kraków dorożką.

W liście Feliksa Fikusa czytam:

Łączna liczba Polaków, którymi się opiekowałem, wynosiła około 5 tysięcy osób. Wśród nich odnalazłem w połowie 1945 roku K. I. Gałczyńskiego i jego przyjaciółkę Lucynę… (nazwiska nie pamiętam), córkę byłego generała armii austriackiej ze Lwowa, byłą więźniarkę z obozu w Ravensbrück. Dla obojga wystarałem się o oddzielny pokój niedaleko koszar, co było tym bardziej konieczne, kiedy dowiedziałem się, że „Lucyna jest w ciąży”. Pomagałem Gałczyńskiemu i jego przyjaciółce w jakim takim

urządzeniu się i w zaopatrzeniu ich w odzież itd.

W „Zielonym Konstantym” wymieniony jest „generał armii austriackiej”, ale nie ma go w wypowiedzi Fikusa na 210 stronie. Jest w zupełnie innym fragmencie książki. Zadziwia brak dociekań autorki na ten temat, dla mnie bardzo istotny.

Niezrozumiała i niewybaczalna jest też postawa tego trochę „dziennikarza, trochę pisarza”, jak go określa Kira, który nie może wykrztusić z siebie, że Lucyna, gdy ją poznał, nosiła już nazwisko Gałczyńska. Był przyjacielem obojga, obecnym na chrzcinach ich syna, o czym świadczy wpis do zachowanego, a założonego właśnie z tej okazji sztambucha: *Bądź, synu, jednak… poetą! (…). Höxter, 31 III 46*.

Z tego sztabucha pochodzą też wierszowane życzenia ojca chrzestnego Kostka – podpułkownika Stanisława Czernego – które warto przytoczyć:

> Młody Konstantynie!
>
> Urodziłeś się w godzinie
>
> Gdy ojciec Twój po świecie hasał,

Nie martwił się i popasał,

I gdy wyzwolenia nadeszła pora

On może gdzieś w rozgwarze, z wieczora

Śnił sen o następcy tronu

I opiewał go słów koroną…

Lecz to nie było to właściwe,

To sprawiły losy mściwe –

To była wielka tragedia serca

Że ten właściwy stał się przeniewiercą

Synu wielkiego Człowieka…

Ciebie jasna przyszłość czeka,

Tylko bierz z ojca to co jest wzniosłe,

Byś był do Czynów dorosły. –

Drugiemu chrześniakowi na pamiątkę

(podpis nieczytelny)

Höxter, 31 III 46.

I życzenia matki chrzestnej Marii Burskiej.

Drogi Synku!

Bądź – utalentowany, jak Ojciec,

realistą jak Matka,

wielki duchem i sercem jak Ojciec chrzestny –

i miej tyle szczęścia w życiu

ile Ci życzy matka Chrzestna –

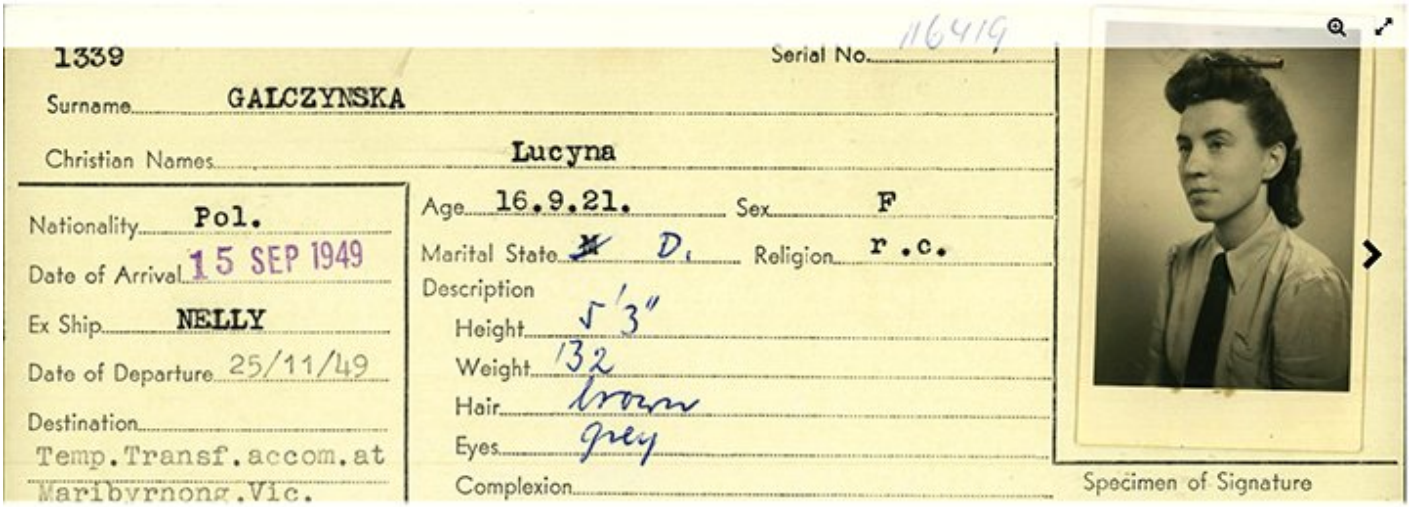
a będziesz najszczęśliwszym z ludzi.

Höxter, 31.3. 46 r.

Książeczka-pamiętnik z chrzcin Kostka, w którym są i późniejsze wpisy z ciepłymi życzeniami dla chłopca wychowywanego tylko przez matkę – to dla Anny Arno, autorki książki „Poeta niepokorny”, *poetycki tomik jego ojca zilustrowany przez obozowych przyjaciół*. To nie jedyny błąd, jaki popełnia autorka w odniesieniu do Lucyny Wolanowskiej[12].

W 2012 roku ukazały się nieautoryzowane rozmowy Mirosława A. Supruniuka z Jerzym Giedroyciem pt. „Uporządkować wspomnienia”, gdzie biednej Wolanowskiej [tu żonie poety] znów się dostaje.

– Gałczyński – to było pod koniec wojny, kiedy znalazł się we Francji – właściwie zdecydował się na pozostanie na emigracji. Ale znalazł sobie jakąś panią [chodzi o Lucynę Wolanowską, przyp. M.A. Supruniuka]*, z którą się nawet ożenił i razem pojechali do Polski. Mówił, że musi załatwić jakieś sprawy, zobaczyć córkę i wraca. Istniało jeszcze wojsko i Gałczyński wspomniał, że ewentualnie przejdzie do 2. Korpusu albo do generała Maczka w Holandii, gdzie też miał wielkich entuzjastów. (…) Ale w Polsce była Natalia, która przyjęła ich, wyrywając jego nowej żonie włosy. Była straszliwa awantura i ona w popłochu uciekła. Gałczyński piekielnie bał się Natalii*.



1339 Serial No. 116419

Surname GALCZYNSKA

Christian Names Lucyna

Nationality Pol. Age 16.9.21. Sex F

Date of Arrival 15 SEP 1949 Marital State ~~M~~ D. Religion r.c.

Ex Ship NELLY Description

Height 5'3"

Date of Departure 25/11/49 Weight 132

Hair brown

Destination Temp.Transf.accom.at Maribyrnong.Vic. Eyes grey

Complexion

Specimen of Signature

NAA: A2571, GALCZYNSKA LUCYNA Page 1 of 2

National Archives of Australia. A 11958, 1339–1340

W 2014 roku Kira Gałczyńska – w wywiadzie udzielonym Violetcie Ozminkowski – powiedziała o swoim przyrodnim bracie, że to syn *jednej z kobiet, z którą ojciec miał relację* (podkr. autorki) *w czasie wojny* .

Nieprawdziwe informacje zawiera strona internetowa:

https://military-history.fandom.com/wiki/Ravensbrück_concentration_camp.

W 1945 roku, tuż przed wyzwoleniem, poecie (…) udało się uratować jedną z więźniarek Ravensbrück od pewnej śmierci (sic!). Nazywała się Lucyna Wolanowska. Zaczęli mieszkać razem, a w styczniu 1946 roku urodził się ich syn, również Konstanty Ildefons Gałczyński. W tym samym roku Lucyna Wolanowska wyemigrowała z synem do Australii (sic!). Itd., itd.

Można by mnożyć przykłady pomysłowości „ludzi pióra” odnośnie życiorysu drugiej żony autora „Końca świata”.

Kinga Młynarska, redaktorka działu poezji internetowego magazynu kulturalno-literackiego „Szuflada”, napisała: *Pod koniec wojny uratował z transportu więźniarek* ***Lucynę Wolanowską,*** *która w styczniu 1946 r. urodziła mu syna, Konstantego Ildefonsa (zmienił potem dane na Steve Parker)* . Małgorzata I. Niemczyńska, recenzując biografię „bodaj największego awanturnika polskiej literatury XX wieku” pióra Anny Arno, pozwoliła sobie na więcej: *W czasie wojennej rozłąki miał kilka kochanek naraz, jedną z nich przywiózł nawet do domu (żona ją przegoniła). Z inną – jak się potem okazało – miał dziecko* .

Głupoty znajdujemy w tekście Grażyny Kuźniak, która w artykule o zgrabnym tytule „Czarodziej Ildefons” w pierwszj kolejności przypomina, że *radni Krakowa nie zgodzili się na nadanie jego imienia szkole, bo – jak stwierdzili –* ***Gałczyński „był pijakiem, kobieciarzem i miał nieślubne dziecko”*** *(sic!)* , gdy tymczasem Sejm uroczyście uchwalił, że rok 2003 będzie poświęcony pamięci poety. Dalej pisze: *Kiedy (…) w czasie wojny trafił do obozu jenieckiego w Niemczech, przeżył drugą miłość. Lucyna Wolanowska była więźniarką Oświęcimia (sic!). Gałczyński przyjechał z nią do Polski w 1946 roku (sic!) podobno tylko po to, żeby zakończyć tutaj wszystkie swoje sprawy. Ale*

gdy zobaczył Natalię, w jednej chwili tamto uczucie przestało się liczyć. Natalia utrzymywała romans (sic!) męża w najgłębszej tajemnicy. Autor „Niobe” wrócił do Polski 22 marca 1946 roku.

Lucyna Wolanowska, urodziła się 16 września 1919 roku (według dokumentów niemieckich) lub 16 września 1921 roku (według dokumentów australijskich). Do oryginalnej metryki urodzenia w języku polskim nie udało mi się dotrzeć. Jej matka pochodziła z Brzeżan. Ojciec? O nim będzie później. Podobno podczas II wojny światowej zginęła cała rodzina Lucyny zamieszkała we Lwowie. Osamotniona zgłosiła się do pracy w Niemczech, gdzie przebywała w latach 1942–1949. Od lipca 1942 roku do października 1943 roku zatrudniona była w fabryce w Wolfen założonej przez AGFA (Aktien-Gesellschaft für Anilin-Fabrikation). Za kradzież kliszy do aparatu fotograficznego na prośbę pary Rosjan, którzy później nielegalnie fotografowali zakład, a w którym miała nadzór nad kilkoma pracownikami, trafiła jako więzień polityczny do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück (numer obozowy 53663). W październiku 1944 roku przeniesiono ją do pracy fizycznej w obozie w Dortmundzie. Siedemnastego marca 1945 roku została wypuszczona wraz z innymi kobietami na wolność. Drogę donikąd pokonywała boso.

Długo czekała na wyjazd do Australii, która nie przyjmowała samotnych kobiet z dziećmi poniżej piątego roku życia. W 1948

roku znalazła sponsora. Był nim Jugosłowianin, pianista Sava Spasojević, którego poznała w Paderborn. W papierach na wyjazd odnotowano, że to *fiancé*, a jednocześnie, że *husband in Poland*. Andrzej Chciuk w artykule zatytułowanym „Gałczyński przyrządzony" napisał, że *być może jednym z głównych, a może najgłówniejszym z powodów, który skłonił poetę do powrotu, była… zwykła bojaźń przed konsekwencjami popełnionej przez niego… bigamii*.

Pół roku przebywała z synem w obozie dla przesiedleńców we Włoszech, zanim 13 sierpnia 1949 roku wsiedli w Neapolu na statek „Nelly". Dziewiątego września 1949 roku przypłynęli do Australii. Z Port Melbourne przewieziono ich do obozu dla emigrantów w Bonegilli, a stamtąd do hostelu w Marybirong. Spasojević był już w tym czasie żonaty.

W 1951 roku małżeństwo Lucyny i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskich zostało unieważnione przez Supreme Court of Victoria. Sprawa – koszty procesu wyniosły 220 funtów australijskich – trafiła na sądową wokandę z powództwa Lucyny, którą reprezentował mecenas Jana Okno. Wyrok wydał sędzia John Vincent Barry. Okno był sekretarzem i tłumaczem Thomasa M. Burke'a, konsula honorowego w stanie Wiktoria z siedzibą w Melbourne. Burke – australijski biznesmen i filantrop – po cofnięciu z dniem 1 stycznia 1946 roku uznania rządu RP w Londynie przez władze australijskie, pełnił nadal nieoficjalnie

funkcję konsula i pomagał Polakom. Niedługo potem była pani Gałczyńska poślubiła Stanisława Pykę , starszego brata późniejszego peerelowskiego polityka Tadeusza Pyki . Stanisław, wywieziony podczas wojny na roboty do Niemiec, po wojnie studiował medycynę na uniwersytecie w Bonn. Nie chciał wracać do Polski, w której władzę przejęli komuniści. Żyli szczęśliwie aż do jego śmierci w wieku 71 lat w 1990 roku. Dochowali się córki Ewy (obecnie Eve Ogden). Lucyna Wolanowska, a właściwie Pyka, pod koniec życia przebywała w Innisfree Residential Aged Care Facility w Kyneton. Zmarła 5 marca 2005 roku.



Konstanty Ildefons Gałczyński jr (Kostek) z wizytą w domu autorki z książką o swoim ojcu, nieświadomy jej treści, Rowville, Melbourne, Australia, 24 lutego 2014 r., fot. Bogumiła

Żongołłowicz



Konstanty Ildefons Gałczyński jr i Bogumiła Żongołłowicz w jej domu w Melbourne w Australii, 24 lutego 2014 r., fot. arch. Bogumiły Żongołłowicz

Jako syn wielkiego poety Kostek zaistniał w Polsce w 1990 roku, gdy zapukał do drzwi leśniczówki Pranie na Mazurach i oświadczył Kirze, że jest jej bratem. Zawiózł go tam Sławomir Krajewski, którego ojciec poznał Kostka w pociągu na trasie Berlin – Warszawa i zaprosił do siebie w gościnę. Krajewski na własne oczy widział emocje towarzyszące temu spotkaniu.

Junior Gałczyński nie lubił nazwiska ojca. GAŁCZYŃSKI. GALCZINSKY. Australijczycy mieli kłopot z jego pisownią i wymową. W 1963 roku zmienił je na Pyka, a w 1972 roku na

Parker . Natomiast w paszporcie polskim (seria PY NR 084963) wydanym przez Konsulat Generalny w Sydney 6 grudnia 1991 roku figuruje jako Gałczyński Konstanty Ildefons. Wnuki autora „Zaczarowanej dorożki" – a jest ich pięcioro – to dzisiaj Parkerowie. Choć nie wszyscy. Polski czytelnik, miłośnik poezji mistrza Gałczyńskiego, a przede wszystkim córka i biografka poety, wiedzą o dwóch wnuczkach i jednej żonie . Tak mi się przynajmniej wydaje, bo nie sądzę, aby wywiad – z Seliną Parker, która uczyła się w Letniej Szkole Języka i Kultury Polskiej UMSC w Lublinie, znany był szerszemu odbiorcy. Selina jest wnuczką I.G.K. juniora i Mary Therese Barber, którą poślubił za zgodą matki w 1965 roku. Miał 19 lat. Dzieci z tego związku to Damien Steven Parker, Glenn James Parker i Gabrielle Mary Parker – matka Seliny. Lyn Margaret Whibeard wyszła za mąż za Kostka, gdy był już po czterdziestce.

To z Lyn odwiedzał Polskę. Z Lyn i z ich z pierworodną córką… Kirą Jean Galczynska. Młodsza, Sarah Jayne Galczynska, przyszła na świat pięć lat później.

Przez kilkanaście lat Steven Parker, czyli Konstanty Ildefon Gałczyński zajmował się resocjalizacją społeczną. Wcześniej i później imał się różnych zawodów. Był hodowcą bydła, stolarzem, strażakiem, muzykiem i właścicielem jachtu motorowego, którym woził turystów odwiedzających Terytorium Północne.



Grób Alojzego Horaka na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, fot. Bogumiła Żongołłowicz

Druga sprawa, która w związku z Lucyną Wolanowską nie daje mi spokoju, to potwierdzenie ojcostwa. Jak mi powiedziała, jej rodzicami byli Maria i Alojzy Horakowie. Alojzy Horak – to pułkownik WP. Na dostępnych fotografiach znaczne podobieństwo rzuca się w oczy.

Urodzony w 1891 roku w Krakowie, zapisał chlubną kartę w historii Polski, a miłość do ojczyzny przepłacił życiem. Był absolwentem Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Lwowskiego. Od roku 1909 do 1914 brał czynny udział w polskich organizacjach wojskowych i niepodległościowych. Współorganizował skauting we Lwowie. Od sierpnia 1914 służył w armii austriackiej na froncie, gdzie dnia 2 maja 1915 roku został ciężko ranny. Po wyleczeniu – w Polskiej Organizacji

Wojskowej. Od listopada 1918 roku w Wojsku Polskim, między innymi we Lwowie. *Oficer o wysokich wartościach moralnych* – czytam w opinii opinii generała Kazimierza Fabrycego. – *Pracę pojmuje w sposób wielce ideowy – jest nadzwyczaj sumienny, pracowity, przy tym bardzo zdolny i inteligentny. Zagadnienia organizacyjne armii ujmuje bardzo trafnie i w tym kierunku wykazuje specjalne uzdolnienia oraz zamiłowanie. Na swoich podwładnych posiada wpływ bardzo dodatni. Wybitny Szef Biura Ogólno-Organizacyjnego .*

W innym miejscu tego samego dokumentu natrafiłam na informacje, że w 1919 był stanu wolnego, w jeszcze innym, że był *separowany, wyznanie żony rzymsko-katolickie, narodowość polska, miejsce stałego zamieszkania żony przed wstąpieniem w związek małżeński – Wiedeń*.

W książce Jana Rzepeckiego „Wspomnienia i przyczynki historyczne”, która zawiera szkic o Alojzym Horaku, znajduje się jedna wzmianka (s. 269) dotycząca jego życia osobistego: *Był ożeniony z osobą pochodzenia żydowskiego, z którą musiał się rozwieść*.

W „Lwowskich Wiadomościach Parafialnych”, tygodniku poświęconym życiu religijnemu Lwowa (1937/12) opublikowano zapowiedź przedślubną w Kościele św. Wincentego à Paulo: *Horak Alojzy, Kraków i Trzaskowska Jadwiga, Snopkowska 95a*.

Zbieżność nazwisk? Czyżby Lucyna Wolanowska (a może Horak?) była nieślubnym dzieckiem?

Opowiadała mi, że będąc jeszcze dziewczynką „zakochała się" w generale Walerianie Czumie, który bywał u ojca i chętnie wyszłaby za niego – pomimo dużej różnicy wieku – gdyby poprosił ją o rękę. Wiek nie miał znaczenia także w jej związku z Konstantym. Mówiła również, że zmieniła nazwisko przed wyjazdem do Niemiec. Ojciec był w ciągłym niebezpieczeństwie. Był pierwszym komendantem Okręgu Warszawa – województwo Związku Walki Zbrojnej ZWZ, AK, głównym Inspektorem Batalionów Chłopskich, szefem wyszkolenia Formacji Bojowo-Milicyjnych Polskich Socjalistów. Bał się, że jak Niemcy go złapią, to trafią i do niej. Załatwił córce nowe papiery.

Złe przeczucie sprawdziło się. Alojzego Horaka aresztowano 10 (11?) listopada 1942 roku w mieszkaniu Zofii Prauss przy ulicy Żurawiej 24 w Warszawie *pod jego nazwiskiem paszportowym Justyn Małecki, ale gestapo zdołało ustalić jego tożsamość i po 3 miesiącach straszliwych badań w Alei Szucha został rozstrzelany 12 lutego 1943 r. w zbiorowej egzekucji pod Stefanowem w lasach Nadleśnictwa Hojny koło Piaseczna* . Rząd Polski w Londynie został powiadomiony depeszą. Po wojnie ekshumowano szczątki. Płk Horak spoczywa na wojskowych Powązkach w Warszawie, skąd do grobu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego zaledwie kilkaset metrów .



Lucyna Pyka (Gałczyńska) w swoim domu w Sunbury, czerwiec 1996 r., fot. Bogumiła Żongołłowicz

Łucja/Lucyna Wolanowska – Lucyna Gałczyńska – Lucyna Pyka nie odpowie mi na nurtujące pytania, choć podobno nie na wszystkie pytania trzeba znać odpowiedzi. Nie może też się bronić. Nie żyje. Walkę o jej dobre imię uznałam za swój moralny obowiązek. Niech ten artykuł będzie tego dowodem. Niech to będzie rodzaj płyty nagrobnej, której nie ma . Spoczywa bezimiennie obok swojego męża Stanisława Pyki w Altona Memorial Park, ale o tym wiedzą tylko jej najbliżsi i ja.

Ps. We wszystkich relacjach i komentarzach dotyczących Lucyny – występuje ona jako Lucyna Wolanowska. Gwoli prawdy trzeba mocno zaakcentować, że od 26.04.1945 roku – to jest od daty ślubu z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim – nosiła już nazwisko Gałczyńska i jako taka przybyła do Australii w 1949 roku.

Artykuł ukazał się w „Pamiętniku Literackim", Tom LXIII, czerwiec 2022, wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn.

*

Spotkania z Bogumiłą Żongołłowicz w Słupsku i w Londynie.

SŁUPSKIE CZWARTKI LITERACKIE

SPOTKANIE 31

Bogumiła Żongołłowicz

z książką

pt. „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów"

22 września 2022 r. (czwartek) godz. 16:30
Zamek Książąt Pomorskich w Słupsku
Sala Rycerska

moderator: dr hab. Krystyna Krawiec-Złotkowska, prof. AP
koncert: Piotr Pendzich

wstęp wolny

Organizatorzy:

Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku
Katedra Filologii Polskiej w Instytucie Filologii Akademii Pomorskiej w Słupsku
Fundacja PRODIRE
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Gdańsk
Herbaciarnia w Spichlerzu Richtera



---

*

*

Zobacz też:

> Powrót z niepamięci

> Srebrna Natalia

Przypisy:

[1] Pełne nazwisko według aktu zgonu wystawionego przez Births, Deaths & Marriages – Darwin 7 maja 2020 r. brzmi: Steven Daniel Parker.

[2] Kopia w posiadaniu autorki.

[3] Wywiadu udzieliła mi w swoim domu w Sanbury (Wiktoria, Australia) 1 czerwca 1996 r. Wywiad ten zatytułowany *Byłam prawowitą żoną autora „Zaczarowanej dorożki”* ukazał się w „Przeglądzie Polskim”. Tygodniowym dodatku literacko-społecznym „Nowego Dziennika” (Nowy Jork) 20 stycznia 2006, s. 5.

[4] Ksiądz Jan Planeta (1909–1968) ur. w Radwanie k. Tarnowa, był więźniem obozów koncentracyjnych. Wyzwolony w Dachau, przez kilka lat pracował z Polakami przebywającymi w Niemczech, służąc im duchowym wsparciem. W 1950 r. wyemigrował do Kanady. *Zob*.

. W wywiadzie *Byłam…* mylnie podałam, że był to najprawdopodobniej ksiądz Ziółkowski. Inny błąd, któr zakradł się do tego wywiadu to, to że Lucyna Wolanowska dotarła z Dortmundu do obozu w Altengrabow.

[5] Kopia listu otrzymana od Lucyny Pyki.

[6] Wojciech Wasiutyński (1910–1994), prawnik, publicysta, działacz katolicko-narodowy.

[7] W. Wasiutyńki, *Wspomnienie o Gałczyńskim*, „Wiadomości” (Londyn) 1975, nr 7, s. 1.

[8] K. Gałczyńska, *Zielony Konstanty, czyli opowieść o życiu i poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego*, Warszawa 2000, s. 6–7.

[9] K. Targosz, *Zaczarowany scenariusz. Dzieje grzechu poety*, „Przekrój” 1989, nr 27, s. 11.

[10] Stanisław Czerny (1889–1963), podpułkownik, intendent WP.

[11] Anna Arno w książce *Niebezpieczny poeta*, Kraków 2013, s. 221.

[12] Na s. 206 pisze, że Lucyna Wolanowska przeżyła obóz w Auschwitz.

[13] M.A. Supruniuk, *Uporządkować wspomnienia. Nieautoryzowane rozmowy z Jerzym Giedroyciem*, Toruń 2012, s. 153.

[14] https://weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,17069451,kira-galczynska-ojciec-byl-takim-chlopcem-do-bicia-za-czasow.html

[15] K. Młynarska, *Konstanty Ildefons Gałczyński 2/2;* http://szuflada.net/konstanty-ildefons-galczynski-22/

[16] M. I. Niemczyńska, *Nowa biografia Gałczyńskiego. Poeta głównie uroczy* [RECENZJA]/ 17 grudnia 2013, https://wyborcza.pl/7,75410,15147557,nowa-biografia-galczynskiego-poeta-glownie-uroczy-recenzja.html

[17] https://katowice.naszemiasto.pl/czarodziej-ildefons/ar/c13-5700435

[18] Tamże.

[19] Arolsen Archives. International Center on Nazi Persecution.

[20] National Archives of Australia. A 11958, 1339–1340.

[21] Według Ewy (Eve) Pyki (późniejszej Eve Ogden) matka miała pięcioro rodzeństwa: dwie siostry (Zofię i Wiktorię) oraz trzech braci (Karola, Franka i Edwarda). Jedną z sióstr wraz z mężem i dziećmi wywieziona zostałana Sybir i ślad po nich zaginął. Jeden z braci jako kilkunastolatek zginął od wybuchu granatu.

[22] A. Chciuk, *Gałczyński przyrządzony*, „Wiadomości" (Londyn) 1959, nr 34, s. 4.

[23] Anna Arno we wspomnianej książce błędnie podaje 1948 rok.

[24] *Migrants marry*, „National Advocate" (Bathurst)), 27 sierpnia 1949, s. 2.

[25] W akcie małżeństwa zawartego 4 kwietnia 1952 r. w Melbourne figuruje Lucyna Wolanowska (*spinster* – stara panna), córka Marii (z d. Hoeptyng) i Władysława Wolanowskiego, inżyniera, zmarłego. Pusta rubryka dotycząca dzieci została wykreskowana.

[26] Tadeusz Hiacynt Pyka (1930–2009), działacz komunistyczny, ekonomista, Wiceprezes Rady Ministrów, poseł na Sejm PRL VI, VII i VIII kadencji.

[27] Na fb, na stronie Leśniczówka Pranie, natrafiłam na wpis pod informacją o śmierci Kostka. „Dopiero się teraz dowiedziałem, opowiem i ja swoją historię. Mój ojciec jadąc pociągiem zapoznał się [ze] Steve Parker, [który] opowiedział mu, że szuka siostry w Polsce, został zaproszony do nas do domu, z żoną u nas mieszkał kilka dni, był z nim wywiad telewizyjny, którego szukam do dziś, a także ja go zawiozłem do siostry pierwszy raz, jak się zobaczyli, widziałem na własne oczy te emocje. Steve spoczywaj w spokoju”.

. O tym zdarzeniu opowiadał mi również sam Kostek. Z „odwiedzin” ekipy telewizyjnej nie był zadowolony.

[28] Kira Gałczyńska w książce *Nie wrócę tu nigdy, czyli pożegnanie z Mazurami* (Warszawa 1998) podaje mylnie na s. 171 nazwisko Porter.

[29] Dopiero po śmierci K.I. Gałczyńskiego (Stevena Parkera) na stronie fb – Leśniczówka Pranie – znalazła się wzmianka o piątce jego dzieci. Podała ją Gabrishia Galczynska (sic!). I tu czytam, że Steven Parker był synem K.I. Gałczyńskiego i Lucyny Wolanowskiej (sic!) więźniarki (…) Oświęcimia (sic!).

[30] Wywiad Wojciecha Kluska pt. *Nie wiedziałam, że pradziadek był tak znanym poetą* ukazał się w „Kurierze Lubelskim” (na wycinku prasowym brak danych bibliograficznych). Wnuczka

Konstantego Ildefonsa juniora błędnie podaje, że jej dziadek przyjął nazwisko Parker „zgodnie z miejscowymi wymogami”. Nie było takich wymogów.

[31] Arkusz Ewidencyjno-Kwalifikacyjny Alojzego Horaka z zasobów Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie.

[32] Źródło: https://www.dws-xip.com/PW/bio/h1a.html

[33] S. Płoski, *Horak Alojzy*, „Polski Słownik Biograficzny”, t. IX, Wrocław-Warszawa- Kraków 1960–1961, s. 618.

[34] Miejsce pochówku: Alojzy Horak, ps. „Justyn Małecki”, „Witold Młot”, „Nestorowicz”, Neuman (1891–1943), dowódca Okręgu Warszawskiego AK; kwatera A6, rząd 8, grób 1. Konstanty Ildefons Gałczynski kwatera A2, rząd 10, grób 18.

[35] Spoczywa w Altona Melbourne Park; Cassuarina Lawn (AX), Row L, Grave 19.

Powrót z niepamięci

Rozmowa z dr Bogumiłą Żongołłowicz, pisarką, dziennikarką, dokumentalistką i biografką polskiego pisarza z Australii, Andrzeja Chciuka.



Bogumiła Żongołłowicz, Queensland State Archives, Brisbane, maj 2022, fot. ze zbiorów B. Żongołłowicz

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*:

W 2021 roku w Oficynie Wydawniczej Kucharski w Toruniu wyszła biografia „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów” Pani autorstwa. To drugie, poszerzone i uzupełnione wydanie książki, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie w 1999 roku. Niektórzy pisarze

po napisaniu książki zamykają temat, z Panią Andrzej Chciuk cały czas jest. Jak Pani myśli, dlaczego?

Bogumiła Żongołłowicz *(Melbourne, Australia)*:

Ponieważ stale przybywa mi materiałów na jego temat. Po niedawnym pobycie u wdowy po pisarzu w Queensland mogłabym z miejsca przystąpić do pisania trzeciego wydania jego biografii. Barbara Soddell przekazała mi kolejną porcję, tym razem bardzo prywatnych materiałów, uznając, że już przyszedł na to czas.

Co Panią w nim najbardziej fascynuje?

To nie jest sprawa fascynacji, a potrzeba, a nawet konieczność-powinność-obowiązek przekazywania przyszłości dorobku kulturowego Polonii australijskiej.

Rodzina Andrzeja Chciuka nazywa Panią „doktorem chciukologii". Ma do Pani pełne zaufanie, przekazuje archiwalia, wiedząc, że zostaną wykorzystane w jak najlepszy sposób. Czy było coś w tych dokumentach, co Panią zaskoczyło?

Trudno mówić o zaskoczeniu, kiedy praca nad biografią to poznawanie – krok po kroku – swojego bohatera. Było mi

natomiast bardzo przyjemnie, kiedy z USA przyszło „Wrześniowe niebo” – debiut poetycki Andrzeja Chciuka – pisane „sobie na ukojenie w chwilach tęsknoty i chandry” w pierwszej połowie lat czterdziestych we Francji. Autor przekazał maszynopis przez przyjaciela rodzeństwu przebywającemu wówczas w Anglii. Chciał, aby jego „wypocinki” dotarły w jakiś sposób do matki na wypadek, gdyby nie wrócił do domu. Tymczasem pół wieku później podarowano teczkę z wierszami mnie. Mogłam stwierdzić, że część zawartych we „Wrześniowym niebie” utworów ukazało się w prasie emigracyjnej, ale poetycki książkowy debiut Chciuka nastąpił dopiero w 1962 roku i nosił tytuł „Pamiętnik poetycki”. Była to pierwsza książka wydana w języku polskim na antypodach.

Wiem, że odwiedziła Pani miejsca związane z pisarzem od Drohobycza na Ukrainie, w którym się urodził, po Melbourne w Australii, gdzie zmarł. Czy znalazła Pani to, czego szukała?

Nie powiedziałabym, że szukałam, ponieważ Drohobycz odwiedziłam już po złożeniu książki do druku (mówię o pierwszym wydaniu), natomiast w Melbourne mieszkam od ponad trzydziestu lat. Poleciałam natomiast do Niemiec. Do Planneg pod Monachium zaprosił mnie Tadeusz Chciuk, starszy o dwa lata brat Andrzeja, z którym wcześniej wymieniałam listy. Tadeusz zmęczony ciągłym odpisywaniem na moje szczegółowe

pytania, napisał któregoś razu „Zapraszam do Celtowa”. Celtowo to dom Celta, a Celt – to literacki pseudonim Tadeusza powstały z inicjałów imion i nazwisk jego i jego żony. Innego pseudonimu – Michał Lasota – używał w Radiu Wolna Europa, w którym pracował przez wiele lat. W połowie lat dziewięćdziesiątych nie bardzo było mnie stać na tak daleką podróż. Uznałam jednak, że muszę ją odbyć dla dobra książki. Dość szczegółowo drohobyckie wspólne dzieciństwo i młodość opisał mi Władysław Chciuk z San Francisco, kolejny z braci mojego bohatera. Odpowiadał na wszystkie pytania niekiedy tylko pytając ze zdziwieniem – *Po co Pani aż taka wiedza?*



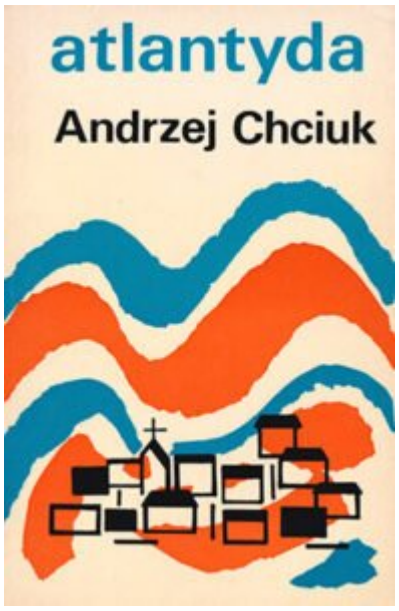
Bogumiła Żongołłowicz (z prawej) i Barbara Soddell – wdowa po Andrzeju Chciuku, Brisbane 2022, fot. ze zbiorów B. Żongołłowicz

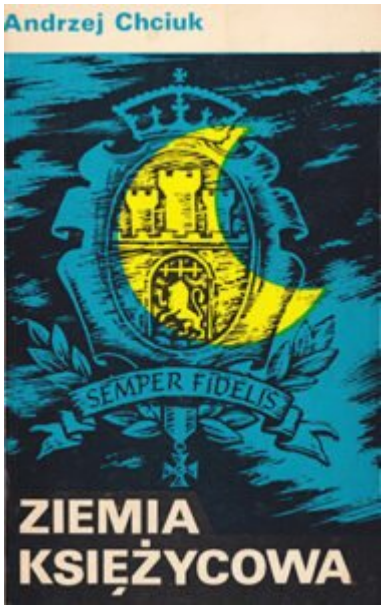
Jak pisze Pani w książce, pisarz miał trzy żony. Z pierwszą, Barbarą Kulwieć pobrał się we Francji i miał z nią dwójkę dzieci, Jacka i Hanię. Z rodziną wyemigrował do Australii w 1951 r. Druga żona, Wanda z domu Poniatowska, zmarła nagle w wieku trzydziestu sześciu lat. Trzecia, Barbara Wilczyńska, była ponad dwadzieścia lat młodsza i ma Pani z nią dobry kontakt, co było widać, a raczej słychać, podczas niedawnego hybrydowego spotkania zorganizowanego przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie, w którym wzięła udział. Pisarz musiał mieć w sobie dużo uroku, że mimo nadwagi i trudnego charakteru, kobiety go kochały.

Na podstawie odsłuchu zachowanych nagrań mogę powiedzieć, że miał miękki głos, że mówił z wyraźnym kresowym akcentem. Na zdjęciach z młodości wyglądał przystojnie. Dałabym mu zaprosić się na randkę. W dorosłym życiu walczył nie tylko z nadmierną tuszą, ale i z chorobami. Zofia Kozarynowa nazywała go przesadnie w jednym ze swoich artykułów „otyłym, szpetnym i nieznośnym”. Uczyniła to w dziesiątą rocznicę śmierci pisarza. „Szpetny” znaczy „odrażający, ohydny, szkaradny”, a takim z całą pewnością nie był. Czy miał w sobie dużo uroku? Na pewno potrafił zjednać sobie otoczenie.

Andrzej Chciuk mówił bałakiem – gwarą lwowską. Jak dużo jest przeszłości w jego twórczości literackiej?

Bałak obecny jest w jego dwóch książkach-gawędach o „tamtej ziemi”, w „Atlantydzie. Opowieści o Wielkim Księstwie Bałaku” i jej kontynuacji „Ziemi księżycowej. Drugiej opowieści o Księstwie Bałaku”. Pierwsza książka otrzymała nagrodę londyńskich „Wiadomości”, które uznały ją za „najwybitniejszą książkę pisarza polskiego pochodzenia wydaną na emigracji w 1969 roku”. Doczekała się aż pięciu wydań, nie licząc tłumaczenia na ukraiński. „Ziemia księżycowa” miała cztery wydania i też została przetłumaczona na ukraiński, zresztą dzięki mojemu pośrednictwu między Barbarą Soddell i tłumaczką Natalką Rymską.





Okładki książek Andrzeja Chciuka ze zbiorów B. Żongołłowicz

Bałak szedł z Chciukami przez życie. Jakże wymowny jest fragment listu Władysława Chciuka do młodziutkiej Barbary Soddell (Wilczyńskiej): *Musisz Basiu zrozumieć, że było nas czterech, właściwie każdy inny, każdy wybrał swoją drogę i swój cel. Wojna nas rozdzieliła, ale łączy rodzina i Drohobycz. Kto wie, co było ważniejsze. Po tylu latach nie jestem sam pewien. Chyba bałak*. Przytaczam ten list w obu wydaniach biografii Andrzeja. Władysław był lotnikiem podczas wojny, a czwarty brat to Antoni, o którym jeszcze nie mówiłam. Przybył do Australii przed Andrzejem. Pracował między innymi na poczcie. Jego nieszczęśliwe życie prywatne doprowadziło go (?) do samobójczej śmierci. Wypłynął na jezioro Eildon. Wypożyczona łódź „wróciła" pusta. Ciała nigdy nie odnaleziono. Do dziś jest uważany za *missing person*.

Jego nauczycielem języka polskiego w Drohobyczu był Bruno Schulz. Z Drohobycza pochodził też Kazimierz Wierzyński. Czy Andrzej Chciuk wspominał ich w swoich tekstach dziennikarskich?

W „Atlantydzie" jest rozdział zatytułowany „Bruno Schulz zaczarowany i zwykły". Z moich ustaleń wynika, że miała powstać książka, ale teczka z napisem „Bruno Schulz", już w chwili przejęcia jej przeze mnie od rodziny, była pusta. Moim zdaniem Chciuk nie był w stanie w dalekiej Australii, pozbawionej prawdziwych polskich ośrodków badawczych, polskich bibliotek ze specjalnymi zbiorami, zgromadzić wystarczającego materiału na obszerną publikację. Sama pamięć o nauczycielu, a nawet wspomnienia innych uczniów Schulza, do których dotarł, nie były wystarczające. Wymienił kilka listów z Jerzym Ficowskim, specjalistą od twórczości Schulza, ale tego też było mało. Za mało na książkę.

Tytuł „Ziemia księżycowa" nasunął się Andrzejowi Chciukowi po przeczytaniu wiersza Kazimierza Wierzyńskiego „Księżyc". Pierwsza zwrotka tego utworu jest mottem do wspomnień pisarza. Dedykowany Wierzyńskiemu – niestety pośmiertnie – fragment „Atlantydy" zatytułowany „Góry, nasze góry" ukazał się w „Wiadomościach" (26/27/1969). Wierzyński „usynowił" Chciuka.

Przedstawionego przez Panią Andrzeja Chciuka odbiera się jak żywego człowieka, pełnego rozterek, borykającego się z problemami na emigracyjnej ziemi, imającego się różnych profesji, a przede wszystkim posiadającego pasję pisarską. Jak Pani się to udało?

To wypadkowa wysiłku, uporu i talentu. Poza tym sama jestem emigrantką i do pewnego stopnia doświadczyłam tego samego, co mój bohater, co pomogło mi w pisaniu.

Jak wspominała Pani wielokrotnie, o Andrzeju Chciuku mówiło się, że jest „najlepszym kucharzem wśród poetów". Z pisania trudno wyżyć, pisarz musi mieć często tzw. *day job*. Bohater Pani książki był szefem kuchni w różnych, niekiedy prestiżowych miejscach. Gotował też polskie dania – zupę piwną i bigos myśliwski. Podjął kolacją Artura Rubinsteina i jego żonę Nelli, podczas tournée pianisty po Australii w 1964 r. Zacytuję przepis na „zakąskę a la Rubinstein" (s. 204): *Awokado „miało dziurkę po pestce wypełnioną sosem vinaigrette z dużą ilością krewetek i trochę śledzika z cebulką drobno posiekanego, i ząbeczek czosnku, i jajeczko, na twardo z majonezikiem (...) i kilka kropelek koniaku Otard, i korniszonek (...), i trembulkę".* Czy sądzi Pani, że Andrzej Chciuk w gotowaniu znajdował upust dla swojej kreatywności?

Wiem, że nosił się z zamiarem wydania książki kucharskiej. We Francji poznał „najlepszego pisarza kulinarnego”, jakim był Édouard de Pomiane czyli Edward Pożerski. Znał jego książeczkę poświęconą polskiej kuchni “La Cuisine polonaise: vue des bords de la Seine”. Pomiane-Pożerski lubował się w wyrafinowanych daniach. Chciuk również. W menu restaracji „The Polonaise” w Melbourne, w której „szefował” znajdujemy takie potrawy jak STEAK a’ La Waltzing Matilda (nieoficjalny hymn Australii) i CARP a’ La Kosciuszko (nawiązanie do nazwy najwyższej góry Australii). Dodam, że w lokalu, który prowadził dziennikarz Jerzy Grot-Kwaśniewski, kierownikiem artystycznym był Gwidon Borucki – pierwszy wykonawca pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino”. Stanowili doborową trójkę.





Okładka drugiego wydania biografii Andrzeja Chciuka, projekt Zuzanna Lipińska

Bogumiła Żongołłowicz, National Archives of Australia, Canberra 2022, fot. ze zbiorów B. Żongołłowicz

Poszukując informacji na temat pisarza, natrafia się głównie na Pani opracowania: wywiady, artykuły, materiały z konferencji. Jest też Pani autorką jeszcze dwóch książek o Andrzeju Chciuku – *Kabaret „Wesoła Kookaburra”* (2004) i *O pół globu od domu: obraz Polonii australijskiej w twórczości Andrzeja Chciuka* (2007). Wyciągnęła go więc Pani z niepamięci. Kim jeszcze się Pani zajmowała w swojej pracy dokumentalistki?

Lista osób jest dość długa. Wspomnę o kilku postaciach. Zatem byli to: Andrzej Gawroński, Roman Granowski, ks. Konrad

Trzeciak, płk Jerzy Gruszka, Lidia Duda-Groblicka, Krystyna Jackiewicz, Ludmiła Błotnicka, Roman i Krystyna Pawłowscy, Natalia i Mieczysław Kułakowscy, Jan Dunin-Karwicki, Jerzy Grot-Kwaśniewski i wielu innych.

Powracając do książki, oprawą graficzną zajęła się uznana graficzka Zuzanna Lipińska, córka Eryka Lipińskiego, karykaturzysty, dziennikarza, grafika, założyciela ilustrowanego czasopisma satyrycznego „Szpilki" oraz Muzeum Karykatury w Warszawie. Jak wyglądała ta współpraca?

Lipiński zilustrował cykl „Pierwsi Polacy we Francji" z tekstem Chciuka w tygodniku „Polska i Świat" w 1950 roku. Przebywał wtedy na stypendium twórczym w Paryżu, gdzie pisarz mieszkał po wojnie do czasu wyjazdu do Australii. Biblioteka Narodowa w Warszawie zgodziła się wykonać skany z tego pisma po uzyskaniu pisemnej zgody od spadkobierców. Tak zaczęła się nasza znajomość na odległość, która doprowadziła do wydania biografii najbardziej znanego pisarza polskiego w Australii w pięknej szacie graficznej, za co jestem Zuzannie dozgonnie wdzięczna. Zuzanna zaprojektowała również moją stronę internetową

Książkę czyta się jednym tchem, jak beletrystykę. To duża zaleta pozycji biograficznej. Nie zatracając warsztatu

naukowego, operuje Pani językiem literackim i wciąga czytelnika w koleje losu australijskiego emigranta z talentem pisarskim. Czy ma Pani już odzew czytelników?

W myśl przysłowia, że skromność nie popłaca, odpowiem, że tylko pozytywny. Ktoś nawet napisał, że szkoda, że to wydanie drugie, bo nie można jej było zgłosić do Górnośląskiej Nagrody Literackiej Juliusz.

Może następna książka będzie miała więcej szczęścia, czego Pani z całego serca życzę.

*

Zobacz też:

> Wkład Polaków w kulturę artystyczną Australii

Teresa Podemska-Abt. Wiersze.



Teresa Podemska-Abt, fot. arch. autorki

Filolog, pisarka, tłumaczka, socjolog edukacji, poetka. Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie we Wrocławiu. Od 1981 r. mieszka w Australii, gdzie ukończyła studia podyplomowe w zakresie edukacji, wielokulturowości i australijskich mediów anglojęzycznych na *University of Adelaide*. Na *Macquarie University* w Sydney badała wpływ języka ojczystego na procesy uczenia się języka angielskiego przez

Polaków. W 1983 roku założyła Szkołę Języka i Kultury Polskiej, współtworzyła audycje radiowe i programy kulturalne dla Polonii w Australii. Była w grupie założycieli Polskiego Towarzystwa Kulturalnego, miejsca działań twórczych dla emigracji polskiej.

Doktorat ze specjalnością „literatura aborygeńska" obroniła na *University of South Australia*. Od wielu lat związana jest z AIATSIS *(Australian Institute of Aboriginal and Torres Strait Islander Studies).)*. W pracy naukowej zajmowała się badaniem i interpretacją współczesnej literatury aborygeńskiej. Jest autorką artykułów i książek naukowych dotyczących literatury rdzennych mieszkańców Australii. Tłumaczyła poezję aborygeńską na język polski.



Pisze także wiersze. Była publikowana w Polsce, Australii, Kanadzie i USA, („Odra”, „Nowe Media”, „Czas Kultury”, „Postscriptum Polonistyczne”, „Tygiel Kultury”, „Poezja dzisiaj”, „Kosmos Literatów”, „Metafora Współczesności”, „Winter in Australia”, „Text Matters”, „Contemporary Poetry” i w wielu innych). Jest autorką tomów prozatorskich i poetyckich („Składam człowieka”, „Żywe sny”, „Pomieszały mi się światy”). W 2021 jej spektakl poetycki emitowany był w radiu PBA FM w Adelajdzie.

Jest członkinią South Australian Writers Society i International PEN.

Laureatka wielu nagród. W 2022 r. została nagrodzona przez portal literacki Miasto Literatów (USA) Nagrodą Literacką im. Josepha Conrada, przeznaczoną dla autorów spoza kraju, piszących w języku polskim i angielskim.

*

*

krótka kronika ciężaru obyczajności

a może byś zechciała

uśmiechać się. bez żenady

żyć. bez ceregieli

kochać

bez pamięci

kosztować szaleństwo. bez wyjścia. a nawet bez skrupułów

chciałabyś łamać konwenans stary jak prababka

bez wstydu

rozmawiać. pod gwiazdami. nagim ciałem. w miejsce języka

zechciałabyś może

w towarzystwie. jak szalona Julka. bez namysłu

bulwersować

gorszyć

nikt ci nie zabroni spróbuj

poznać swoją nieubłaganą naturę. jak trzeba

zapaść się pod ziemię albo wzlatać nad i przenikać światła

istnieć. bez wysiłku

zapłakać miłością. w perspektywie. bez pamięci

sięgnąć dna. wbrew wszystkiemu i wszystkim

uznać ład zamętu w którym przyszło tkwić i jest. jak ty jesteś. później

oddychać. pod jakimś niebem. w głuszy

słuchać nawoływania. pragnienia

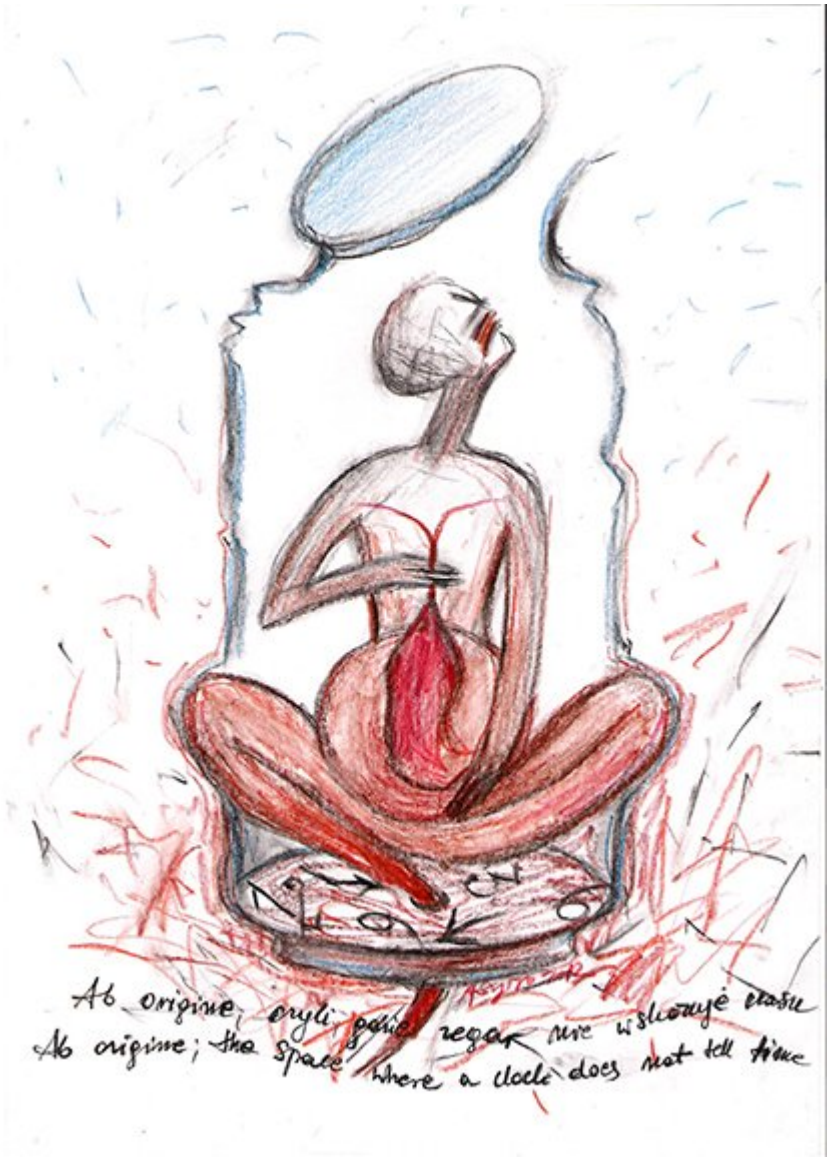
drzew. z zachłannością wchłaniających twoją ostatnią łzę

ulgi. bez kompromisów

czemu sprzyja dżdżyste dziś mocno powietrze

*

be w temacie



Anna Szyłło, ilustracja do książki o literaturze aborygeńskiej *„Spaces of literary Wor(l)ds and Reality„*

jeśli Pani chce

być

ze mną blisko

poprzez imię

spytam kosmos

czy istnieję w takiej wariacji

że można. infantylnie

opowiadać mnie

zdrobnieniami. bezkompromisowo

imiona potrafią

robić z człowieka bestie

odsądzić od czci i wiary

brzmieć etykietami

przyczepiać łatki

pouczać. akuratnie

kamuflować. stereotypowo

bez konsekwencji

się wyzłośliwiać

*

imię można zmienić

dla żartu

niepoznaki

dla kogoś

z poważnego powodu

słusznie

sprawić by stało się

snem ciałem szaleństwem

dogmatem

jest też tak że wołanie staje się pieszczotą

znosi ból

istotny nieistotny niuans

ukryty w ulubionym imienia wariancie

zmniejsza dystans

rozstania. niepotrzebne

deklaratywne gadanie

*

więc jeśli Pani chce

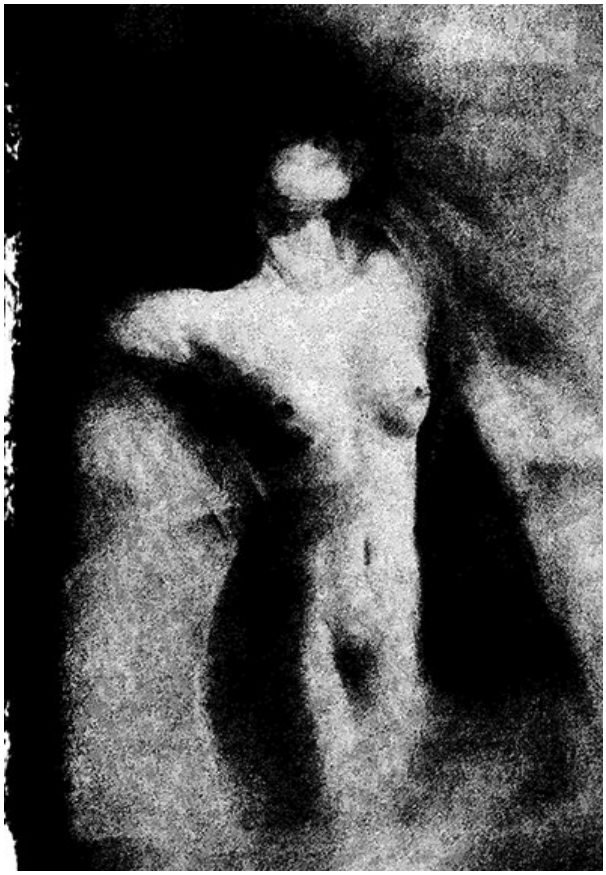
być ze mną blisko

imieniem moim

opowiadać moją naszą-Pani-rzeczywistość

może należałoby spytać

czy warto



Joanna Majchrowska, ilustracja z tomiku „Pomieszały mi się światy”

a uważać za *b*

kłócić się z banalną mutacją ja w ty

ty w ja istnieje. bez wątpienia

do zrozumienia zażyłości. utożsamienia

potrzeba jedynie czystej jak łza miłości

*

krzyż

agresji

okrucieństwa

ciężkiej choroby

niepewności

pracy

nad siły

strachu

braku

*

krzyż wszelkich krzyży

niesiony przez granice

od wschodu do zachodu

kataklizmu bezdomności

lawiny odbierającej życie poświęcenia

co posiadasz

co w drugim i w tobie

najcenniejsze

©TPA



Teresa Podemska-Abt, tomiki poezji

*

Zobacz też:

> Aborygeni i ich świat

Australijska fauna na fotografiach Andrzeja Fiali



Andrzej Fiala
Andrzej Fiala *(Perth, Australia)*

Fotografie zwierząt i roślin robię w bezpiecznych miejscach, głównie w Zoo i w Parkach. Jadowite węże, pająki, mrówki można spotkać nie tylko w buszu, ale i nad rzeką, w pobliżu ścieżek, nawet w niskich trawach, na *backyardzie* domu położonego niedaleko jeziora czy bagna… Niebezpieczne są także australijskie sroki, a szczególnie w okresie lęgowym, gdyż atakują dzieci, przechodzące pod drzewem z ukrytym gniazdem, potrafią nawet wydziobać oko. Wszędzie należy zachowywać ostrożność, szczególnie w lecie (w zimie węże śpią). Moim zdaniem nie trzeba jechać do odległych miejsc, aby zrobić ciekawe zdjęcia. Jeśli ktoś fotografuje szerokie pejzaże, to najlepiej z helikoptera, albo przy użyciu drona. Mnie to nie interesuje.

Po przyjeździe do Australii i oglądaniu plakatów z jadowitymi wężami, pająkami, mrówkami baliśmy się uchylić siatkę w oknie… Australia ma najbardziej jadowite węże na świecie, które można niechcący nadepnąć. Jadowite pająki jak np. *redback* (samice mają znak) siedzą w pobliżu rdzy. Trzeba uważać na ich sieci. Można stanąć oko w oko z dużym kangurem w buszu, ale one przeważnie uciekają, choć słyszy się, że samce mogą atakować.

W ostatnich latach, dzięki kompletnemu zakazowi odławiania rekinów, które rozmnożyły się znacząco, pływanie w Oceanie trochę dalej od brzegu też stało się bardzo niebezpieczne.

Zarówno kangury, jak i większość australijskich zwierząt, w dzień przeważnie śpi, dlatego moje zwierzęta na zdjęciach są rozleniwione, ale wtedy łatwiejsze do sfotografowania. Nawiasem mówiąc bałbym się ryzykować szukania ich po zmroku, kiedy są aktywne i mogą zaatakować intruza.

GALERIA


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala



Andrzej Fiala na „bezkrwawych łowach” w Australii

Zobacz też:

> Ptaki Australii w obiektywie Andrzeja Fiali

> Australijskie piękno na fotografiach Andrzeja Fiali

Australijscy twórcy na wystawie w Lublinie

Polscy artyści z Australii – Anna, Adam i Andrzej Fiala

Moje sztuki są zawsze o emocjach

Z dr Anną Habryn, pisarką, autorką sztuk teatralnych, jednym z niewielu w Australii dramaturgiem polskiego pochodzenia

rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka



Anna Habryn

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

„Dałeś mi marzenie” to słuchowisko radiowe o Pawle Edmundzie Strzeleckim, odkrywcy Australii, które zostało zrealizowane podczas pandemii. Czy ten wyjątkowy czas dla nas wszystkich był motorem napisania i wyreżyserowania tej sztuki?

Anna Habryn:

Sztuka powstała kilka lat wcześniej, ale realizacja słuchowiska rzeczywiście zbiegła się z pandemią i była nieco utrudniona przez zakaz gromadzenia się. Na szczęście próby nie były zbiorowe, a praca odbywała się w gronie 2-4 osób. No i pomogło

nam to, że restrykcje w Zachodniej Australii trwały stosunkowo krótko.

Sztukę przygotowała grupa teatralna *Emoticon* z Perth, która powstała, aby zaprezentować Twoją jednoaktówkę „Zazdrość" na festiwalu polskiej kultury Pol Art, która w 2018 r. odbywała się w Brisbane. Opowiedz o tym teatrze.

PolArt to festiwal prezentujący polską kulturę i sztukę w Australii i Nowej Zelandii. Konkurs odbywa się różnych kategoriach: m.in. jest literatura i teatr. Ja się czuję człowiekiem literatury, ale piszę dla teatru i nie wydaję książek drukiem. Nie mam więc czego sprzedawać na wieczorach autorskich. Ale chciałam być tam obecna, więc musiałam namówić kilkoro aktorów (konkretnie: zorganizować dwie grupy teatralne po 5 osób!), żeby zaprezentować tam dwie moje sztuki – "Zazdrość" po polsku oraz „Happy Birthday Melanie" po angielsku, dla widowni australijskiej. Jestem związana z australijskim *New City Theatre* i mam szansę wystawiać sztuki po angielsku w Perth dla lokalnej społeczności. Dlatego zawsze je piszę w dwóch wersjach językowych. Czasami te wersje trochę się od siebie różnią. „Zazdrość" miała w Perth swoją premierę po angielsku, ale żeby wystawić ją w Brisbane po polsku, musiałam zorganizować polskich wykonawców. No i tak powstał *Emoticon,* czyli Teatr Emocji. Bo moje sztuki są zawsze o emocjach. Nie potrafię pisać o polityce, ani o historii.

Słuchowisko radiowe „Dałeś mi marzenie” to jak na razie jedyna Twoja sztuka radiowa o Pawle Edmundzie Strzeleckim. Ale w 2009 r. napisałaś sztukę „Portret z kobietami” wystawioną przez teatr Scena 98 w Perth, a potem pokazaną w Melbourne, Sydney i Kanberze. Masz też gotowy scenariusz filmu fabularnego oraz scenariusz 6-cio odcinkowego serialu telewizyjnego. Co cię najbardziej zafascynowało w tej postaci?

Frapujące jest to, że tak niewiele o nim wiemy. Był człowiekiem sukcesu, obracał się w najlepszym towarzystwie i w politycznych kręgach wiktoriańskiej Anglii, przyjaźnił się z kapitanami żaglowców i z członkami rządu, był duszą towarzystwa i szanowanym autorytetem, podziwiały go kobiety, a zawistnicy próbowali go zniszczyć… Na kanwie suchych biograficznych faktów i na podstawie kilku fragmentów pamiętników umieszczonych w przypisach jego książki o Australii, a także z kilku zachowanych listów można zbudować bohatera z krwi i kości, ale tylko wtedy, kiedy się go ubierze we własne doświadczenia i przemyślenia. Kiedy dokona się tzw. projekcji. Opisałam Strzeleckiego tak, jak go sobie wyobraziłam identyfikując się z nim. Zobaczyłam w jego losach cechy wspólne bardzo wielu, jeśli nie wszystkim emigrantom. Niewykluczone, że się mylę, ale to moja własna wersja tej postaci. I jestem do niej bardzo przywiązana.

Paweł Edmund Strzelecki i jego dokonania wciąż są mało znane. Niewiele osób wie, że podróżnik był pierwszym Polakiem, który objechał świat w celach naukowych. Zajęło mu to 9 lat.

Niestety, Strzelecki nie opublikował żadnej pracy etnograficznej. Jego książka o Australii jest poświęcona klimatowi i geologii tego kraju. Przez długie lata była szanowana jako źródło naukowe, jeszcze w 1981 roku Uniwersytet Zachodniej Australii wydal jej reprint! Jest tam wzmianka o Aborygenach i to ważna wzmianka, bo Paweł Edmund Strzelecki odbiegał w swoich poglądach od współczesnych mu Anglików. Uważał, że powinno się szanować ich kulturę i nie usiłować ich „cywilizować" ani nawracać. Jednak pewna jestem, że jego zapiski „etnograficzne" nie dotarły w XIX wieku do Polski, ani później też nie.

W 2002 roku założyłaś Stowarzyszenie Góry Kościuszki. Przez wiele lat byłaś prezesem tego stowarzyszenia, teraz jesteś sekretarzem. Przypomnijmy, że Góra Kościuszki to najwyższy szczyt w Australii, zdobyty przez Strzeleckiego i przez niego nazwany. Od dawna toczy się spór o trudną do wymówienia nazwę i walka ze strony Polonii o jej zachowanie. Jak wygląda teraz sytuacja, co robi Stowarzyszenie, aby nie doszło do zmiany nazwy Góry Kościuszki?

Po głośnym proteście Polonii australijskiej na początku tego wieku sprawa przycichła. W zeszłym roku odezwała się zupełnie nowa grupa Aborygenów, która proponuje wymyślenie nowej nazwy. To nie jest nawet plemię, które tamte tereny zamieszkiwało w czasach Strzeleckiego, przenieśli się oni w Alpy Australijskie znad oceanu. Lokalni Aborygeni przystąpili do negocjacji i podobno powołano komitet, który taką nazwę ma ustalić. W Australii jest silny trend do dodawania znaczącym miejscom nazw aborygeńskich. Tak zrobiono ze wszystkimi chyba parkami narodowymi. Teraz proponuje się zmieniać nazwy rzek i miejscowości, tych, które założyli biali osadnicy! Niby nie ma w tym nic złego, ale z upływem czasu te nowe nazwy wypierają tamte tradycyjne i tak rezygnuje się z europejskich tradycji i z historii powstawania australijskiego państwa. O *Ayers Rock* teraz już mówi się tylko Uluru. Ale *Uluru* zawsze było dla tubylców miejscem kultu. Natomiast Góra Kościuszki nigdy nie miała dla nikogo żadnego znaczenia, aż do momentu, kiedy Strzelecki obliczył, że ten właśnie wierzchołek jest najwyższy z dziesięciu podobnych w tym samym masywie.

Czy w Australii, oprócz nazw ulic, czy innych nazw własnych, istnieje w świadomości społecznej wiedza na temat Pawła Edmunda Strzeleckiego?

Kiedyś istniała. Ciekawostka: w stanie Wiktoria rząd regularnie przyznaje przedsiębiorcom nagrodę imienia Strzeleckiego za

ekologiczną eksploatację bogactw naturalnych. Istnieje szereg pamiątkowych obelisków na terenach przemierzonych i naniesionych na mapę przez Pawła Edmunda Strzeleckiego. Te pamiątki wznoszono w latach 20. i 30. ubiegłego wieku. Paweł Edmund Strzelecki był wtedy w podręcznikach szkolnych. Zmieniło się wszystko w latach60.,z powodu jednej znanej feministycznej pisarki, Helen Heney, uprzedzonej do Strzeleckiego, czego wcale nie kryła.

Jej książka „In a Dark Glass" była tendencyjnym paszkwilem, a ponieważ panowała wtedy moda na „odbrązawianie" sławnych ludzi, książka okazała się na tyle popularna, że zrujnowała (po 100 latach od jego śmierci) reputację podróżnika. I o tym w 2009 roku napisałam swoją pierwszą sztukę „Portret z kobietami". Była ona moją polemiką z Helen Heney. Myślę o tym, żeby wystawić tę sztukę ponownie, tym razem w języku polskim.

W Polsce zrobiłaś doktorat z teorii przekazu audiowizualnego w Zakładzie Filmoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim. Potem przez 10 lat wykładałaś na kulturoznawstwie w Gdańsku. Wyjechałaś do Australii w 1982 roku „za mężem" i od tej pory mieszkasz w Perth. Z Twojego życiorysu wynika, że i na tym odległym kontynencie Twoja twórczość i działalność na rzecz kultury polskiej jest niezwykle bogata. Byłaś szefem komitetu radiowego w polskim radio, jesteś autorką pięciu sztuk

teatralnych, masz w dorobku sześć tomików poezji w języku polskim i angielskim, jesteś współautorką biografii Pawła Edmunda Strzeleckiego „Ballada o odkrywcy”, autorką powieści „Miłość po szkocku”, drukowaną w „Liście oceanicznym” dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto. A jak Ty oceniasz swoją działalność na rzecz kultury, nie tylko polskiej, na australijskim kontynencie?

To bardzo skromna działalność, głównie dla lokalnej społeczności. Perth to wprawdzie prawie dwumilionowe miasto, ale na peryferiach kultury światowej. Robię to co lubię i cieszę się, jeśli sprawia to satysfakcję także innym. Nie ma o czym mówić.

Co roku kilka tygodni spędzasz w australijskim buszu. Opowiedz o tym, skąd ten pomysł i jak wygląda taka eskapada?

Do buszu jeżdżę zwykle wiosną i jesienią. Zostawiam za sobą świat z jego problemami, rozkoszuje się przestrzenią, przyrodą, samotnością na tyle, na ile to możliwe. Busz to miejsce magiczne, człowiek czuje swoją marność i małość wobec wielkości kosmosu i wieczności wszechświata. Można rozmawiać ze zwierzętami, jeśli przyjdą, zaciekawione, można godzinami siedzieć przy ognisku i patrzeć w płomienie… jest tak, jakby czas w ogóle nie istniał. Napisałam też sztukę o ludziach w buszu i o szukaniu

złota. Ludzie z buszu są inni, niż ci w mieście. Fascynują mnie ślady dawnych poszukiwaczy złota i ich morderczej pracy oraz spartańskiego życia. W buszu nie złoto jest najcenniejsze. Najcenniejsza jest woda i dobre buty, a także wykrywacz metali i kilof. Ale to temat na odrębne opowiadanie.



Piękno australijskiego buszu, fot. Anna Habryn

Strona Stowarzyszenia Góry Kościuszki:

http://mtkosciuszko.org.au/

29 sierpnia 2020 r. odbyło się międzykontynentalne spotkanie z dr Anna Habryn przez Zoom w ramach spotkań Klubu Historyka

Austin Polish Society, które podczas pandemii, z lokalnych spotkań z Polonią przekształcilo się w Klub otwarty na świat. Pierwsze spotkanie on-line, odbyło się w maju 2020 r., a gościem był dramaturg, reżyser i profesor Uniwersytetu w Buffalo – Kazimierz Braun. Zapraszani do rozmowy goście są autorami magazynu „Culture Avenue”. Podczas sierpniowego spotkania z Anną Habryn zaprezentowane zostało jej słuchowisko radiowe „Dałeś mi marzenie” o Pawle Edmundzie Strzeleckim.

*

Zobacz też:

> Paweł Edmund Strzelecki – postać fikcyjna czy realny człowiek?